

4007
Cim. P 101/1863

PRZEGLĄD

RZECZY POLSKICH.

(Dnia 7 stycznia 1863 roku.)

TREŚĆ.

	str.
Adres Emigracji Polskiej do Narodu angielskiego.	1
Przegląd czasopismów poznańskich i zachodnio-pruskich.	15
Rok 1862 (sprawy zagraniczne).	28
Wiersz Syrokomli.	49
Sprawy krajowe i emigracyjne (wyjątek z tajnych pism warszawskich; obchód tysięcznej rocznicy nad Gopem; okólnik Komitetu Emigra- cji Polskiej; zdanie sprawy Szkoły Polskiej na Batignolles; czwarta lista składek Towarzystwa Podatkowego).	50
Dziennikarstwo francuskie; zawiadomienia.	61

ADRES

EMIGRACJI POLSKIEJ DO NARODU ANGIELSKIEGO.

Polacy zebrani w Londynie na obchód 29 listopada, pod prezydencją Ant. Żabickiego, jednogłośnie uchwalili następujący do narodu angielskiego adres, który *Times* z 1 grudnia w całości przedrukował, a który wraz z opisem obchodu w Londynie wyjmujemy z *Demokraty Polskiego*.

« Nie ma Polaków tylko na Emigracji » była stereotypowa uwaga, z jaką przyjmowano od niedawna wszelkie manifestacje Emigracji Polskiej za granicą. Upominanie się jej o prawa Polski, nie poparte oznakami żywotności w kraju, przestały zwracać uwagę publiczności europejskiej, nie znajdowały rozgłosu, straciły wszelkie polityczne znaczenie. Objaawy ducha polskiego na Emigracji, były uważane jako ostatnie drgnienia konającego narodu. Żale i skargi Emigracji Polskiej odświeżały wprowadzić nieprzyjemne wspomnienia krzywd, okrucieństw, gwałtów i zbrodni popełnionych, nie

N. m. s. 210219

W. 86 / 84
29.5

dozwalały zaborcom w spokojności pożywać zagrabionych łupów i obudzały politowanie w sercach szlachetnych, ale nie były w stanie skłonić Europy do naprawienia zbrodni. Odbudowanie Polski nie tylko wypadło z rachub dyplomatycznych, ale nie wchodziło w plany rewolucyjnych komitetów, które zaliczając Wiedeń pomiędzy rewolucyjne ogniska, nie raczyły Polsce naznaczyć pośledniego miejsca w rządzie narodów przyszłości.

To objawione przez cudzoziemców lekceważenie Polski i zwątpienie o jej przyszłości, aczkolwiek było bolesne dla nas, dało się jednak usprawiedliwić. Przez 15 lat bowiem, naród polski w kraju nie dał dostatecznych oznak życia, pomimo że dwa ogromne wstrząśnienia w Europie nastęrczały mu sposobność i łatwość odnowienia walki o swą niepodległość ze skutkiem. Wstrząśnienie w 1848 r., które zachwiało porządek w całej Europie, udzieliło się tylko krańcowym prowincjom Polski, wywołało w nich krótkie i słabe poruszenie, a nie poruszyło wcale trzech czwartych części Polski rosyjskiego zaboru ze stolicą Warszawą. Wojna wschodnia w 1854 i 1855, która wycieńczyła i wyczerpała siły moskiewskie w walce z zachodnimi mocarstwami i zmusiła Rosję do wyciągnięcia wojsk z Polski, wywołała tylko słaby ruch ludowy w jednej krańcowej prowincji, Ukrainie, lecz wyższych klas narodu polskiego i reszty kraju nie poruszyła. Nic zatem dziwnego, że świat, widząc iż Polska nie rzuciła się nawet na wroga zajętego wojną trzech mocarstw potężnych, powtórzył za carem : że Polska jest marzeniem. Emigracja polska, związana sympatycznymi węzły, czując silne tętnienia serca żyjącego narodu, nie straciła wiary w jego przyszłość, zaprotestowała silnie przeciw bliźnierzom cara, odrzuciła z pogardą amnestję ; ale Europy o żywotności narodu przekonać nie była w stanie. Od tej chwili Emigracja widząc jak nadaremne były jej usiłowania dla przekonania opinii publicznej, że Polska nie umarła, przestała występować na trybunach publicznych. Odtąd kościoły były miejscem jej zebrań dla obchodzenia uroczystości narodowych, a modły do Wszechwiedzącego, odczwami, w których objawiała swą wiarę w przyszłość.

Dziś położenie się zmieniło. Od dwóch lat naród polski daje coraz niewątpliwsze, coraz silniejsze oznaki swojej



żywołności. Świat przekonał się, że przez piętnaście lat pozornego uśpienia, naród polski w kraju zajmował się czynnemi, nurtującami pracami, nad wewnętrznem swém przeobrażeniem i odrodzeniem. Żelazne rządy Mikołaja, zamiast zniszczyć ducha Polski, podniosły jego sprężystość, która za pierwszém zwolnieniem rygoru moskiewskiego, rozsadziła sklepienia więzienia Polski. Świat ze zdziwieniem zobaczył wychodzący z niego naród oczyszczony z dawnych przywar, zespolony w jednolitość węzłem braterstwa, ożywiony ideami postępowemi, pełen siły moralnej.

Dziś Polska nie istnieje tylko na Emigracji, ale w całym kraju zakreślonym granicami przedrozbiorowemi 1772 r. Za Emigracją stoi naród dwudziestopięć milionowy, upominający się o prawa do odrębnego bytu politycznego. Emigracja, za dotknięciem się gruntu żyjącego narodu, odzyskuje napowrót swoje dawne polityczne znaczenie, podejmuje napowrót obowiązek reprezentantki wielkiego narodu i występuje na trybunę przed publicznością angielską, aby przypomnieć jej prawa narodu polskiego, przedstawić jego potrzeby i dążności, spodziewając się, że jej poselstwo znajdzie posłuchanie i rozgłos.

W skutek zmienionego położenia i język naszych odezwo do europejskiej publiczności musi być zmieniony. Nie będziemy nudzić Europy żałami i skargami na jej obojętność, niewdzięczność i niesprawiedliwość. Nie będziemy także wytaczać przed nią krzywd i cierpień naszych, aby ją wzywać do litości. Przestajemy również straszyć świat niebezpieczeństwami, jakie zagrażają równowadze mocarstw ze strony zaboreczyh zamiarów Moskwy i narzucać się dyplomatom na nauczycieli jak mają im zapobiedz. Nie będziemy wreszcie grozić Europie przerzuceniem się Polski na stronę Moskwy i służeniem jej za narzędzie do zamienienia Europy na kozacką, dla ukarania jej za dopuszczenie popełnienia na Polsce zbrodni i niezrobienie przez sto lat ani jednego usiłowania w celu jej naprawienia. Rozpacz, zwątpienie, groźby, zemsta, przystoją słabym. My zaś czujemy się dziś silni, przygotowani do wywalczenia niepodległości własnemi siłami. Odzywając się dziś do publiczności europejskiej, mamy zamiar tylko przypomnieć jej prawa Polski, przedstawić usposobienia i dążności narodu polskiego, odeprzeć potwarze nieprzyjaciół,

odepchnąć przymilenia fałszywych przyjaciół, i żądać od niej aby sprawy naszej nie lekceważyła, ale ją zrozumiała, poznała i dała jej moralne poparcie, na które zasługuje.

Zbytecznem byłoby długo rozwodzić się nad prawami narodu polskiego do niepodległości. Te prawa spoczywają nie tylko na historycznej podstawie, ale zgodne są także z górującą ideą dzisiejszego ducha czasu, dążącą do oparcia państw na podstawie narodowości, zgodne z doktryną nowożytną przyznającą odrębnym narodowościom prawo do urzędzenia się według ich własnej woli i potrzeb. Kiedy Włochy potrzeba było stworzyć, a Grecja jest dopiero do tworzenia, Polskę potrzeba tylko przywrócić. Przez odbudowanie Polski nie uczyni się gwałtu żadnym prawom historycznym i nabytym. Zaborcy zwrócą tylko łup, którego strawić nie mogli, który był cierniem w ich boku, który był źródłem ich słabości. Przez zwrot polskich ziem, naród rosyjski wejdzie na drogę rozwoju wewnętrznego, który jest warunkiem siły państwa. Prusy przestaną być Prusakami a staną się Niemcami. Naprawa zbrodni popełnionej na Polsce zaspokoi sumienia rządów i narodów, przywróci moralność prawu między-narodowemu i zjedna mu poszanowanie, bez którego nie można myśleć o utrwaleniu pokoju.

Oprócz prawa, powszechne życzenia przemawiają za przywróceniem Polski. Żadna sprawa nie była do niedawna bardziej popularną w Europie od polskiej. Kiedy po niepomyślnie zakończonej walce podniesionej w dniu, którego pamiątkę dziś święcimy, obrońcy Polski wyszli za granicę, ludy w przechodzie ich na pielgrzymstwo, unosiły ich w tryumfie na ramionach a rządy wyznaczały ze skarbu narodowego we wszystkich krajach żołd dla utrzymania odartych z ojczyzny, własności, posad, bohaterów polskich. Współczucie dla Polski wpływało nie tylko z oburzenia na wyrządzone jej krzywdy, ale i z interesu. Narody straciły sprzymierzeńca, a cywilizacja zachodnia zaporę zdolną opierać się najazdom azjatyckiego barbarzyństwa. Z upadkiem Polski, równowaga została zburzona. Mocarstwa zachodnie drogo opłaciły go. Gdyby Polska była istniała, Moskwa nie pokusiłaby się nigdy o Konstantynopol w 1854; wojna wschodnia nie miałaby miejsca; Anglja, Francja i Turcja byłyby dziś bogatsze o 300,000,000 f. szt. i ludniejsze o 300,000 mieszkańców,

którzy przez kule i choroby śmierć ponieśli na Wschodzie.

Aby takim zgubnym wypadkom na przyszłość zapobiedz, niezawodnie mocarstwa zachodnie życzyłyby sobie, aby Polska stanęła. Zachodzi tylko pytanie czy to jest możliwem. Otóż, pozostaje nam tylko udowodnić, że potrafimy zdobyć i utrzymać niepodległość. Niepowodzenia bowiem kilkakrotnych walk, zrodziły powątpiewanie o naszych siłach i naszej dojrzałości politycznej. Rzeczywiście Polska nie mogłaby być rozebraną, gdyby wewnętrzna jęj dezorganizacja nie ułatwiła była zabiorcom skutecznienia ich zbrodniczych planów. Trzy były główne przyczyny rozkładu politycznego państwa polskiego : *liberum veto* w sejmie, nietolerancja jezuitów i ucisk włościan. Nieprzyjaciele nasi utrzymują żeśmy się nie tylko nie wyleczyli z dawnych wad, ale, że jesteśmy narodem lekkomyślnym, nieprzedsiebierczym. Potrzeba nam zbić te zarzuty.

Zaczynamy od zarzutu, jaki nam czynią cywilizatorowie niemieccy. Twierdzą oni, że nie zajmujemy się pracą, przemysłem. Prawda, że na tegorocznej powszechnj wystawie nie byliśmy odpowiednio reprezentowani. Ale nasze położenie jest wyjątkowe. Dobrze jest zajmować się przemysłem tym co mają niepodległość, swobody. Ale Polacy muszą myśleć przede wszystkim o ojczyźnie. To jest ich pierwszym obowiązkiem. Prace patriotyczne są nieprodukcyjne i rujnujące, narażają ich na wygnanie, więzienie, konfiskaty. Żądać rozwoju przemysłu, w kraju gdzie nie ma żadnych praw, żadnych swobód, żadnego bezpieczeństwa własności, gdzie zabronione są wszelkie spółki, stowarzyszenia, gdzie podatki przechodzą dochody mieszkańców, jest to żądać rzeczy niepodobnych. Zresztą, naród polski w ostatnich czasach wziął się do pracy i przemysłu, pozawiazywał spółki, stowarzyszenia; lecz rządy zaborcze i te usiłowania uznały za niebezpieczne. Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem, które niezmiernie się przyczyniło do podniesienia rolnictwa, zostało rozwiązane.

Równie fałszywe jest twierdzenie, jakoby rządy najezdnicze zaprowadzały cywilizację w naszym kraju. Rzecz się ma przeciwnie. Rządy zaborcze starały się stłumić istniejącą w Polsce cywilizację i zatrzymać wszelki postęp. Właśnie, kiedy naród polski poznał wady swych społecznych sto-

sunków i starał się je naprawić, a mianowicie ulepszyć stan włościan, dwory sąsiednie, widząc w tém staraniu największe niebezpieczeństwo dla swych zaborszych zamiarów, przyspieszyły ostateczny rozbiór Polski. Na kilka lat przed tym rozbiorem, liczni właściciele wchodzili w układy z włościanami i zamieniali pańszczyznę na czynsz. Już w 1780 r. Andrzej Zamojski przedstawił na sejmie polskim projekt usamowolnienia włościan. Konstytucja, która mogła naród nasz zbawić, którą Lord Brougham uznał za najdoskonalszą z ówczesnych, została ogłoszona dnia 3 maja 1791 r. a drugi rozbiór Polski dokonany był 1793 r. W téj konstytucji nie tylko ogłoszono wszystkich mieszkańców za wolnych, ale uchwalono potrzebę ustanowienia osobnej jurysdykcji dla regulowania stosunków włościańskich. Po upadku Polski, kwestja włościańska nie mogąc być roztrzygniętą na sejmie, była podjęta przez agitatorów i spiskowych polskich. Wymierzenie sprawiedliwości włościanom było pierwszym artykułem programu każdego polskiego powstania. Już w 1793 r. wielki patriota Kościuszko zapoczątkował myśl uwłaszczenia włościan. Szczególnie stanowczo podjęła tę myśl Emigracja po wypadkach 1831 r.; przez 16 lat niezliczeni emisariusze Emigracji Polskiej i krajowi patrioci starali się ją upowszechnić w całym kraju. Szlachta polska w Galicji na sejmach postulatowych w roku 1844 i później przedstawiała potrzebę uwłaszczenia włościan. Manifest powstania krakowskiego w 1846 ogłosił bezwarunkowe uwłaszczenie włościan. Lecz właśnie kwestję, którą patrioci starali się rozwiązać dla zjednoczenia włościan dla sprawy narodowej, rządy zaborsze uważały za środek obudzenia nienawiści pomiędzy klasami narodu polskiego i sparaliżowania jego usiłowań patriotycznych. W poruszeniu 1848 r. rząd austriacki chcąc uprzedzić patriotów polskich nie czekał na zwołanie sejmu, ale prostym dekretem gubernjalnym zniósł natychmiast pańszczyznę. W innych prowincjach austriackich, stosunki włościańskie dopiero w rok później zostały zmienione. Rząd austriacki nie chciał wynagrodzić właścicieli polskich tłumacząc się, że darowali sami pańszczyznę. To dowodzi, że myśl uwłaszczenia włościan nie wyszła od rządu austriackiego, ale od patriotów polskich w Galicji, i że rząd austriacki zaprowadził zmianę stosunków włościańskich w reszcie państwa, w skutek po-

czątkowania Galicji. Również świat najniewłaściwiej uważa Aleksandra II za dobroczyńcę włościan polskich w zaborze rosyjskim. Wykazaliśmy powyżej że Polska przed upadkiem swoim ogłosiła włościan za wolnych obywateli i zniósła poddaństwo. Carowie moskiewscy wcielając Litwę i Ruś do Rosji, zamienili tamtejszych włościan na niewolników a szlachtę polską na właścicieli niewolników i handlarzy duszami; lecz na chlubę tamtejszej szlachty potrzeba powiedzieć, że z tego przywileju nie korzystała. W Królestwie Polskiem zaś włościanie pozostali usamowolnieni. Car Aleksander nie mógł znosić tam niewoli, gdzie niewoli nie było. Następnie, usamowolnienie włościan w Rosji nie podjął on z własnej ochoty, ale zmuszony był do tego przez parcie polskiej demokratycznej propagandy. Podobnie jak rząd austriacki to uczynił w Galicji, car chciał tej kwestji użyć jako broni przeciwko patriotycznym usiłowaniom w zaborze swoim. Już w 1846 r. car Mikołaj, widząc jak się ten środek machjawelski powiódł Metternichowi w Galicji, wziął się do regulowania stosunków włościańskich na Ukrainie w zamiarze podburzenia włościan ukraińskich przeciw szlachcie polskiej, lecz próby jego nie udały się. Włościanie nie tylko odrzucili inwentarze regulujące ich stosunki, ale w 1855 podczas wojny wschodniej powstałi przeciw rządowi. To powstanie włościan na Ukrainie, którzy chcieli być tak samo wolnymi właścicielami ziemi jak włościanie w sąsiedniej Galicji, zmusiło Aleksandra II do aktu usamowolnienia włościan w całej Rosji. Społeczeństwo rosyjskie nie było do tego przygotowane. Aby zwyciężyć opór szlachty moskiewskiej, car zmuszony był prosić szlachtę polską na Litwie aby zrobiła początkowanie, co łatwo było jej uczynić będąc oddawna gotową nie tylko do usamowolnienia, ale uwłaszczenia swoich włościan. Już blisko dwa lata temu, jak Towarzystwo Rolnicze w Królestwie, liczące 4,000 członków, szlachty właścicieli, przyjęło za podstawę urządzenia stosunków włościańskich, uwłaszczenie. Potrzebę i chęć uwłaszczenia włościan, wyrażają właściciele polscy gubernij ruskich i litewskich we wszystkich adresach, projektach, protestach. Gdyby więc naród polski miał wolność urządzenia swoich wewnętrznych stosunków, uwłaszczyłby włościan natychmiast. Ale car moskiewski nie podjął myśli usamowolnienia włościan w zamiarze filantropijnym,

ale dla wprowadzenia rozstrojenia w społeczeństwo polskie, zjednania sobie włościan a oburzenia ich przeciw szlachcie i ugruntowania swego panowania w Polsce przez to rozdwojenie. Towarzystwo Rolnicze w Królestwie za uchwałę uwłaszczenia włościan zostało rozwiązane, a minister moskiewski Muchanów rozesłał okólniki, aby tych, co obiecują własność chłopom, wiązać i odstawiać do władz. Takich samych podstępów używa rząd moskiewski do zaszczerpienia nienawiści pomiędzy włościanami a szlachtą na Rusi i Litwie, która przez samego cara była zawezwana do zapoczątkowania wniosku emancypacji włościan, i która zawsze była i jest gotową uwłaszczyć ich natychmiast. Car więc względem Polski nie jest wcale rządcą liberalnym, ale chytrym barbarzyńcem pragnącym wywołania rzezi. Publiczność angielska oburza się na akt emancypacyjny rządu federacyjnego, powołujący do buntu niewolników przeciw właścicielom, którzy ich nie chcą usamowolnić; o ileż silniej — gdyby nie miała dwóch miar do sądzenia ludzi — powinnyby się oburzać na akt emancypacji cara moskiewskiego, który podżega do buntu włościan przeciw właścicielom polskim, którzy niczego bardziej nie pragną jak ich usamowolnić i uwłaszczyć.

Również rządy najezdnicze bynajmniej nie wprowadziły tolerancji religijnej do Polski, ale stosownie do pravidła: *divide et impera*, starały się wzniecić fanatyzm sekciarski i nieustannie podlegały do nienawiści jedne wyznania przeciw drugim, to kłócąc izraelitów z chrześcianami, to unitów katolickich z rzymskimi katolikami. Wiadome są gwałty, okrucieństwa, za pomocą których Moskwa zamieniła przed kilkunastu latami kilka milionów unitów katolickich na syzmatyków. Głowa katolickiego Kościoła, która na wszelkie przedstawienia i prośby ustąpienia interesów świeckich na rzecz narodu włoskiego odpowiada: *non possumus*, oddała w poddaństwo duchowne carów, kilka milionów wiernych bez najmniejszego oporu i protestu. Pomimo tych szatańskich usiłowań rządów najezdniczych, aby obudzić nienawiść religijną w Polsce, duch chrześciański jaki ożywia obecnie społeczeństwo polskie, odznacza się największą czystością, wzniosłością, braterstwem, zgodą i harmonią. Protestanci, izraelici, katolicy odprawiają wspólne nabożeństwa i zanoszą wspólne modły do Boga Zastępów o wyzwolenie wspólnej

ojczyzny. Dzieje nie podają podobnego przykładu zbratnienia religijnych wyznań.

Ultramontanie wielką krzywdę nam wyrządzili, że na soborze kanonizującym męczenników japońskich i w innych miejscach, występowali jako obrońcy sprawy naszej, przez co wprawili nas w podejrzenie jakobyśmy ożywieni byli również dążnościami ultramontańskimi. Lecz to podejrzenie nie ma najmniejszej podstawy. Mogli niektórzy księża nadużyć zaufania i zebrane potajemnie na cele patrijotyczne składki przesłać jako świętopietrze papieżowi, ale żaden Polak nie przelał jednej kropli krwi za jego sprawę, a tylko ofiara krwi dowodzi przywiązania do sprawy. Irlandczycy, Francuzi, Hiszpanie szli walczyć za papieża, ale nie Polacy. Że Polska pobożna żąda od księży patrijotyzmu i nie uważa najwyższych prałatów wyrzekających się ojczyzny, dowodem popularność jakiej używał nieboszyk biskup Fijałkowski, a pogarda w jaką popadł następca jego, jezuita Feliński.

Otóż, zdaje nam się że dostatecznie dowiedliśmy, iż naród polski przejęty jest na wskrós dążnościami liberalnemi i tolerancyjnemi, że przyjąwszy uwłaszczenie włościan za podstawę swego urzędnienia społecznego, a równouprawnienie wszystkich mieszkańców za pierwszy artykuł swęj konstytucji, jest zdolnym utrzymać jedność i zgodę pomiędzy różnemi klasami i wyznaniem, i zasługuje zająć należne miejsce w rządzie wolnych i niepodległych cywilizowanych narodów.

Z kolei wypada nam skreślić charakter dzisiejszego poruszenia narodu polskiego, i program spodziewanego narodowego powstania. Naród polski nie spiskuje, ale na drodze agitacji obejmującej wszystkie warstwy, wszystkie ziemie, szereguje się otwarcie do walki, jawnie wypowiada, do czego dąży. Aby poruszenie narodu polskiego należycie osądzić, nie można go porównywać ze sposobami, w jakie inne kraje, a mianowicie Włochy starały się przyjść do urzeczywistnienia swoich narodowych celów. Polska nie posiada zawiązku państwa, które mogłoby służyć za przykład urzędnienia przyszłego, około którego mogłyby się nawijać inne ujarzmione części Polski, któreby było punktem oparcia dla dzieła wyzwolenia. Polska nie ma podobnej legalnej podstawy jak Węgry do odzyskania. Naród polski nie wchodził w żadne układy z zaborcami. Rządy ich opierają się na popełnionej

zbrodni internacjonalnej i utrzymywane są przez gwałt, bezprawie, ucisk. Naród polski przyjmował ustępstwa, konstytucje; ale upominał się zawsze słowem i bronią o całą ojczyznę i zupełną niepodległość. Utwór Królestwa Polskiego na kongresie wiedeńskim był przez wszystkich historyków polskich uważany za szósty rozbiór Polski, za jedno więcęj pogwałcenie praw Polski. Opierać się na kongresie, byłoby to samo co uznawać gwałt, dawać mu sankcję narodową. Dwory europejskie mogłyby żądać przywrócenia traktatu wiedeńskiego, ale naród polski do tego ręki nie przyłoży. Nie znajdzie się w jego łonie żadne stronnictwo polskie, któreby urządzenia kongresu wiedeńskiego wzięło sobie za podstawę i cel polityczny. Powiedzieliśmy już powyżej, że Polski nie potrzeba tworzyć, ale przywrócić taką jaką była. To co ma być stworzone, może być tworzone po kawałku, lecz odbudowanie musi nastąpić odrazu. W dziele wyzwolenia Polski nie może być stopni, przestanków. Jeżeli zbrodnia dokonana na Polsce ma być naprawiona, musi być naprawiona w całości. Jeżelibyśmy stracili prawo do całości, stracilibyśmy go także do kawałka. Upominanie się o przywrócenie jednej części Polski, byłoby zrzeczeniem się prawa do reszty. Dziś zwłaszcza, kiedy carat stara się dowieść, że Litwa i Ruś należały z prawa historycznego do niego i były odebrane Polsce, Polska nie może na jotę spuścić ze swych żądań i musi obstawać za przywróceniem całości. Żądanie całości Polski w przedrozbiorowych granicach zamieniło się w fanatyzm, jest pierwszym artykułem naszej narodowej wiary. Miejsce Horodło, gdzie Unja Litwy i Rusi z Polską została zawartą, stało się świętem miejscem pielgrzymki i było obrane niedawno za punkt manifestacji jednościowej patriotów wszystkich ziem polskich. Za żądanie połączenia Litwy i Rusi z Królestwem, posłowie szlachty podolskiej nie wahali się dać wywieść na Sybir. W końcu, względy polityczne nakazują odbudowanie Polski tak wielkiej jak była. Mniejsza Polska od tej jaka istniała przed rozbiorami, nie byłaby silną do utrzymania zyskaną niepodległości, byłaby bez użytku dla narodów europejskich, nie byłaby zdolną dopełnić obowiązków włożonych na nią przez cywilizację i służyć za zaporę przeciw przewadze moskiewskiego caratu. Otóż naród polski, bacznie na świętość swych praw, na warunki nieodzowne do zdobycia i utrzymania sa-

modzielności i niepodległości, zamierza podnieść walkę o odbudowanie Polski, od Karpat do Dniepru, od Baltyku do Czarnego morza.

Lecz Polska musi się upomnieć nie tylko odrazu o wszystko co się jęj należy, ale użyć środków energicznych, rewolucyjnych. Nie zawarłszy żadnego układu z zaborczeni dworami, nie mogło się u nas pojawić stronnictwo legalne; nie mając najmniejszego zawiązku państwa, nie możemy mieć stronnictw konstytucyjnych; nie mając żadnej nadziei zyskania zbrojnej pomocy od mocarstw istniejących, zmuszeni zostaliśmy szukać sprzymierzeńców pomiędzy narodowościami, które pragną zarówno z nami odzyskać byt odrębny i niepodległość. W Polsce nie ma roli do odegrania dla Deaków lub Cavourów. Jedyne narodowe stronnictwem Polski, może być stronnictwo ruchu; jedynym przywódcą powstającego narodu, człowiek jak Garibaldi; jedyną prawną władzą, komitety organizujące ruch; a jedyną reprezentacją Polski na zewnątrz, jęj Emigracja i wybrany przez nią Komitet Emigracji Polskiej.

I oto to stronnictwo ruchu ogarnęło cały kraj. Na drodze agitacyjnej objawiła się jego obecność i czynność w całej Polsce. Należą do niego wszystkie stany, klasy, wyznania, wszyscy mieszkańcy bez różnicy wieku i płci. Szlachta polska wyrzekła się wszelkich przywilejów i we wszystkich adresach, protestacjach, wypowiedziała potrzebę uwłaszczenia włościan. Wszystkie komitety w kraju przyjęły jeden i ten sam program polityczny, uznający wszystkich mieszkańców za wolnych i równych wobec prawa obywateli, wszystkie wyznania za równouprawnione. Przez ogłoszenie stanu oblężenia, przez cofnięcie wszystkich ustępstw, przez rozwiązanie rad powiatowych, przez zaprowadzenie tajnej rady sprawującej rzeczywiste rządy absolutne, przez wysyłanie podpisujących adresa do cara, na wygnanie i Sybir, przez karanie równą srogością umiarkowanych i gwałtownych działań, rząd moskiewski wepchnął wszystkich mieszkańców w szeregi rewolucyjnego demokratycznego stronnictwa ruchu. Stronnictwo to nie wyrzekło jaka ma być forma rządu; lecz przyjmując wszechwładztwo narodu za zasadę kardynalną przyszłej konstytucji, zostawiło narodowi, gdy się wybierze na wolność i niepodległość, wybór takiej formy rządu, jaką uzna za najstosowniejszą dla siebie.

Lecz najzbawienniejszém znamieniem usposobienia dzisiejszego narodu polskiego, jest posłuszeństwo i uległość jego władzom kierującym poruszeniem. Rozkazy komitetów są wykonywane z największą gorliwością i jednomyślnością. Cały kraj składa na ich ręce dobrowolny podatek. Posady, majątek, życie, są narażane na ich skinienie. Tém postępowaniem naród polski złożył dowód, że pozbył się najzgubniejszej przywary, swawoli i anarchji. Poruszenie narodowe w Polsce odznacza się największym porządkiem.

I w Emigracji górującą dążnością jest dziś opierać się wszelkim pretensjom, tworzeniom partyjek, kółek. Już blisko dwa tysiące emigrantów polskich w Anglii, Francji, Włoszech, Turcji zszeregowało się w Zjednoczenie, na którego czele stanął wybrany przez ogół Komitet Emigracji Polskiej w Paryżu, uważany za jedyną reprezentację kraju za granicą, upoważnioną do znoszenia się z przyjaciółmi i sprzymierzeńcami Polski do przedstawienia potrzeb i dążeń polskich na zewnątrz.

Pomówmy teraz o naszych sprzymierzeńcach. Powiedzieliśmy już, że nie możemy mieć nadziei otrzymania zbrojnej pomocy od żadnego istniejącego mocarstwa. Musieliśmy ich szukać pomiędzy współlucieżonymi. Najważniejszego znaleźliśmy w obozie naszego głównego wroga. Związani z narodem moskiewskim węzłami wspólnego pochodzenia i mówiąc językiem zbliżonym do jego, potrafiliśmy udzielić mu nasze uczucia i przekonania. Postęp otworzył mu oczy i przekonał go, że caryzm jest wspólnym jego i naszym wrogiem. Naród rosyjski poznał, że dopóki siły jego będą marnowane na utrzymanie Polski w niewoli, dopóki synowie jego zaprawiani będą w sztuce ciemnienia i gnębienia narodu braterskiego, dotąd musi być powstrzymany własny jego rozwój i dotąd nie będzie mógł zdobyć i używać praw i swobód u siebie. Myśl przymierza narodu polskiego z rosyjskim nie została dopiero dziś podniesiona. Już w 1825 Pestel, Bestuzew, Murawiew ponieśli za nią śmierć męczeńską. Polacy w powstaniu 1831 r. walczyli pod chorągwią z napisem : Za naszą i waszą wolność. Myśl tę tradycyjną odświeżył i z zapalem podniósł na nowo Aleksander Herzen w 1854 r. zakładając wolną rosyjską drukarnią w połączeniu z istniejącą polską, dla szerzenia idei wspólnego przymierza. Polacy z uniesieniem powitali prace piśmienne Herzena i uznali go za naj-

dzielniejszego burzyciela caratu. Dziś słowo przeszło w czyn. Redaktorowie *Kołokoła* wydawanego w Londynie, stanęli na czele spisku rewolucyjnego w Rosji. Z odezwy oficerów moskiewskich do W. Ks. Konstantego publiczność mogła się przekonać, że armja moskiewska, nie tylko nie myśli walczyć z powstaniem polskiem, ale będzie korzystać z niego, aby zanieść do Moskwy ideę wolności i niepodległości. Przymierze Polski z rewolucyjną Rosją nie ma nic wspólnego z utopją federacji słowiańskiej. Nie grozi ono nikomu wojną rasową. Zawarte ono jest jedynie w celu rozkucia wspólnych kajdan i zastrzeżę po odzyskaniu niepodległości zupełną wolność odrębnego rozwoju, każdemu z tych dwóch narodów. Dawne granice przedrozbiorowe Dniepru i Dźwiny, przyjęte są za granice ich rozgraniczenia.

Lecz Polska nie spuszcza się wyłącznie na to przymierze. Łudziłibyśmy się, gdybyśmy mniemali, że cała armja rosyjska jest ożywiona miłością wolności i gotowa do wypowiedzenia posłuszeństwa carowi. Rosjanie nie są jedynymi naszymi sprzymierzeńcami. Sprawa Polski jest ściśle związana ze sprawą włoską, węgierską i jednością niemiecką. Wystąpienie któregośkolwiek z powyż wymienionych narodów do walki o urzeczywistnienie jego idei narodowościowej i zdobycie praw do niepodległości, może sparaliżować siły jednego lub dwóch naszych zaborców, i postawić naród polski w możności zwrócenia jego wszystkich sił przeciw jednemu z trzech zaborców. Przyszłość nasza jest pewna. Możemy czekać na sprzyjające okoliczności z cierpliwością. Oprócz zamieszania socjalnego w Rosji, wojny Włoch z Austrią, mogą nastąpić inne wypadki, ułatwiające narodowi polskiemu walkę z wrogami; żyjemy bowiem w czasach, w których się dzieją rzeczy trudne do uwierzenia i przewidzenia.

Przedstawiamy nasze oświadczenie publiczności angielskiej, aby zwrócić jej uwagę na silne poruszenie narodów na północnym Wschodzie, wystawić jej ważność wypadków, jakie mogą tam wybuchnąć i przygotować ją do zastosowania się do nich. Przedstawiliśmy otwarcie czem jesteśmy, do czego dążymy, aby narody zachodnie nas zrozumiały, poznały i należycie osądziły. Nie mogąc otrzymać od nich pomocy zbrojnej, zamiarem naszym jest zyskać ich moralne poparcie dla naszej sprawy narodowej, które nieodzowne jest

do zwycięstwa każdej sprawy, dobijającej się o przyszłość.

Jeżeli opinia publiczna zajmie się szczerze naszą sprawą, i da jej moralne poparcie, możemy być pewni, że rząd angielski będzie zmuszony do przyjęcia względem ruchu Polski polityki nieinterwencji, która nie dozwoli mieszać się Austrii lub Prusom do walki narodu polskiego z rządem rosyjskim, ani Rosji zaprowadzać porządek w Galicji. Obojętność na popelnienie zbrodni rozbioru, była haniebną ; lecz stokroć haniebniejszym byloby zezwolenie na sprzymierzenie się trzech mocarstw zaborczych, dla stłumienia przyszłego polskiego powstania. »

Po jednogodnem przyjęciu adresu tego, pułkownik Ludwik Oborski wniósł następującą rezolucją :

« Emigracja polska, zebrana na uroczystości rocznicy listopadowego powstania — w Londynie, podzielając w zupełności zasady polityczne, jednomyślnie wypowiedziane we wszystkich oświadczeniach, adresach, protestach krajowych, uznając zarówno z krajem uwłaszczenie włościan i równouprawnienie wyznań za nieodzowne warunki połączenia wszystkich mieszkańców polskiej ziemi, w jednolitą całość i utworzenia wielkiej armji narodowej, uwielbiając nade wszystko energiczne prace organizacyjne komitetów krajowych dla przygotowania kraju do powstania, postanawia — nie tylko nieść krajowi pomoc pośrednią, starając się o pomnożenie jego przyjaciół i sprzymierzeńców za granicą, ale ofiarować mu osobiste usługi na każde zawołanie jego, będąc zawsze gotową poświęcić życie za ojczyznę. »

Rezolucja ta przyjętą została, równie jak i następny wniosek obywatela Bobczyńskiego.

« Emigracja polska, idąc za przykładem kraju i uznając konieczność zespolenia i zjednoczenia swych działań, uważa wybrany przez siebie Komitet Emigracji Polskiej w Paryżu, jako jedyną swą reprezentacją upoważnioną do znoszenia się z komitetami w kraju i zawierania stosunków z przyjaciółmi Polski za granicą — postanawia go wspierać wszystkimi siłami, a sprzeciwiać się wszelkim rozdziałom i odrębnym działaniom, uważając je za szkodliwe dla sprawy narodowej. »

Po głosie M. Jastrzębskiego w poparciu tej rezolucji, zgromadzenie ją przyjęło, i prezydujący zamknął posiedzenie.

Podczas rozchodzenia się do domu zgromadzonych, wynikła trochę głośniejsza prywatna sprzeczka pomiędzy dwoma braćmi, której nieprzychylni nam cudzoziemcy nadali znaczenie polityczne; lecz obecni reporterowie do angielskich dzienników osądzili ją w prawdziwem świetle, i nie przywiązując do niej wagi, żadnej nie zrobili o niej wzmianki w swych sprawozdaniach.

PRZEGLĄD CZASOPISMÓW

POZNAŃSKICH I ZACHODNIO-PRUSKICH.

Nim przystąpimy do szczegółowego sprawozdania z piśmiennictwa perjodycznego w dzielnicy polskiej pod zaborem pruskim, powiemy słów kilka o stosunkach prasowych. Według brzmienia konstytucji nie masz w państwie pruskiem cenzury, to jest: iż nikt nie przeszkadza wydrukowaniu rękopisu, dopiero po wytlóczeniu, i złożeniu egzemplarza miejscowej policji, ta osądza co stosownem dla czytającej publiczności a co nie, i w miarę tego zachowuje się biernie lub konfiskuje wszystkie egzemplarze, a nieraz i redaktora, pakując go do więzienia.

Wiadomo że policja nie bywa obsadzana doktorami nauk wyzwolonych, ale ludźmi, którzy mają spryt do śledzenia tego co się w ich obrebie dzieje, wykrywania kradzieży, chwytania złodzieiów, uspokajania hałaśliwych pijaków, czuwania nad czystością ulic, odcieków i t. p. Tymczasem cywilizatorowie świata uznają ich za uzdolnionych, do osądzania wszelkich utworów z dziedziny umiejętności, prokurator policyjny ocenia co szkodliwe a co pożyteczne moralności i państwu w kwestjach polityki, historii, teologii, filozofji, poezji, malarstwa, symboliki, zgłębia w całej encyklopedji wiedzy ludzkiej. Według tego przypuścić by można, że funkcjonujący w tej władzy posiadają kwalifikacje do katedr wszystkich fakultetów, że to sami Arystotelesowie lub Leibnitze zmuszeni dla chleba powszedniego podjąć się trywjalnych zatrudnień. Tymczasem są to tego samego gatunku lu-

dzie, z jakich złożona policja moskiewska, turecka, francuzka, i inne.

Wprawdzie dziełu czy pismu służy prawo odwołania się do zwyczajnych sądów, gdzie już przynajmniej ludzie jakiejś nauki rzecz rozstrzygają, prawnicy z profesji. Osadzają jednak utwór, nie według praw ducha, nie według głębokości nauki lub doniosłości natchnienia jakie przyświecało autorowi, ale według litery kodeksu karnego.

W takich stosunkach prasowych, łatwo pojąć jak trudnem jest zadanie dziennikarstwa polskiego, dla którego te ustawy bywają jeszcze elastycznymi. Mało też jest redaktorów, coby za wyrokiem więzienia nie odsiadawali, i w dodatku nie byli wskazywani na grzywny. Jak obecnie siedzą w więzieniach pp. Danielewski, redaktor *Nadwiślanina* i Stefański, współpracownik tegoż pisma, tak już doznawali tego samego losu ksiądz Prusinowski, redaktor *Tygodnika Katolickiego*, i p. Jagielski, redaktor *Dziennika Poznańskiego*. I niepodobniestwem uniknąć tego, jeżeli władze rządowe niechętnym okiem na pismo patrzą, znajdują niewątpliwie powód do zabrania go i do oskarżenia redaktora. Rzeczywiście niby śmiało wolno pisać tak o sprawach narodu polskiego jak i kwestjach najżywotniejszych, również o całym systemie przebiegłego ucisku i żądzy wynarodowienia nas. Kolumny dzienników wypełnione tém nieraz i pismo rozchodzi się bez szkody, kiedy inną razą frazes, który publiczność odczytała bez żadnego wrażenia, zostaje inkryminowany, ciągnięty na śledztwo jako zamach przeciw całości państwa.

Przejrzymy teraz niedługi szereg pism czasowych w Poznaniu i na Prusach, wyłączając poświęcone przemysłowi. Zacniemy od maluczkich co do treści ale ważnych co do celu, od pism przeznaczonych dla włościan i małomiejskich czytelników.

W Kościanie wychodzi *Szkoła Niedzielną* pod redakcją księdza Tomickiego. Artykuł wstępny bywa tu zawsze treści religijnej, osnutęj na przykładzie cnót z żywotów świętych, lub zamykający wykład prawd wiary; dalej obrazek z dziejów ojczystych ukrzepiający w miłości ku niej, powiastka z celem moralnym, i dział pouczający gospodarstwa. Polityka nie wchodzi w zakres jego, piśmko to położyło jedynie

za cel umoralnienie i przywiązanie włościan do ziemi ojczystej, wpajając zamięłowanie przeszłej jej wielkości. W języku zachowana przynależna prostota i jasność, bez afektowania wymowy grubiej wielkopolskiego ludu. Z wielkiem upodobaniem bywa *Szkółka Niedzielną* przez włościan czytana.

Przyjaciel Ludu wychodzi w Chelmie, w Prusach Zachodnich. Pozostawał dość długo pod redakcją ks. Gawrzyjelskiego, lecz ten młody duchowny tak był za to prześladowanym, nie już przez policję ale przez swego pasterza, biskupa Marwitza, iż zmuszonym się widział zaniechać redakcji. Obecnie p. Chociszewski, redaktor *Nadwiślanina* objął kierunek i tego pisma.

Przyjaciel Ludu tem się tylko różni od *Szkółki Niedzielną*, że ma dział wiadomości politycznych, gdzie ważniejsze wydarzenia bywają opowiedziane treściwie i z przedziwną nieraz prostotą, a mianowicie sprawy polskie, tak własnej prowincji, jak rozbudzonego życia narodowego po za Wisłą. Nie tak trafnie wykładana polityka zagraniczna, a mianowicie stosunki Garibaldeggo do papieża. Partyzant włoski bywa tu przedstawiany jako bohater uwielbiony przez wszystkich, a z drugiej strony wyprawa jego na Rzym opisana jako napaść, od której wyraźnie łaska Boża zasłoniła Ojca Ś. Tak postawiona kwestja stałaby się niepojętą dla głębszego myśliciela a coś dopiero dla włościanina dla którego papież nie w słowie ale w rzeczywistości jest Ojcem świętym. Piszący dla ludu nie powinni nigdy z uwagi tracić, że ich czytelnicy nie pojmują zawikłań politycznych; stawiać więc Garibaldeggo pod dwoma światłami złego i dobrego, obalamuca tylko umysły, nie nauczając niczego. Jasność dla umysłów prostych, jest niezbędnym warunkiem nietylko w słowie ale i w określeniu rzeczy. Z resztą *Przyjaciel Ludu* jest bardzo dobrem pismem, język czysty, zwroty ludowe używane trafnie, gorące uczucie dla ojczyzny przebiega wszędzie. Włościanie tak na Prusach jak w Poznańskim czytają je z wielkiem upodobaniem.

Rok wiejski pod redakcją księdza Koszutkiego i p. Bojanowskiego. Wydawane to pismo w terminach nieoznaczonych kilka razy do roku. Sądząc z tytułu zdaje się być prze-

znaczonem dla ludu wiejskiego, jednak sposób w jakim jest pisane znajduje mu ochotniejszych czytelników w klasie więcej oświeconej, małomieszczan i służby dworskiej. Bywają tu zamieszczane ustępy z dziejów ojczystych, powiatki obyczajowe, nauka religji. Zadanie pisma to samo co *Szkółki Niedzielnej*, ale w stylu i wykładzie, nie masz téj prostoty żywego słowa ludu, ujętego w zgłoski, ale zwykle książkowe, ztąd nie jest tyle popularnem co dwa wymienione wyżej pisemka.

Tygodnik Poznański, wychodzi od początku b. r. pod redakcją p. Schulca, jedyne w téj części Polski pismo poświęcone wyłącznie literaturze. Długo się tu obywano bez pisma literackiego bo przez lat czternaście, gdyż od r. 1847 przestały wychodzić po kilku latach istnienia trzy tego rodzaju: *Tygodnik literacki*, *Orędownik* i *Rok*. Ukazanie się więc *Tygodnika Poznańskiego* nader było pożądanem. Szczupły tu obecnie zastęp ludzi autorujących, a takich którzyby się oddali wyłącznie zawodowi pisarskiemu nie masz wcale. Jeżeli ktoś weźmie pióro do ręki, to chyba w chwilach wypoczynku od innych zatrudnień, w godzinach rekreacji pozostałych od pracy na chleb powszedni. W takich okolicznościach trudnym jest zawód redaktora pisma literackiego, nie zarzucają go artykułami jak się to gdzie indziej dzieje, ale skrzętnie o ich pozyskanie starać się musi. Znać też ten niedostatek w *Tygodniku Poznańskim*, z artykułów które nieraz zamieszcza, jak np. rozprawę o *Azbuce graźdańskiej* księdza Malinowskiego, o *Wincentym Kadłubku* gęsto łaciną nasadzany, *Rodzina Kaspra Miaskowskiego*, rzecz tycząca się jedynie drzewa genalogicznego przez wiele pokoleń tego wierszopisa, *Pogląd na wewnętrzny stan miast polskich* aż do XVIII wieku. Niewątpliwie wszystko to ma wartość i interes dla badaczy w tych działach nauk, lecz nie dla ogółu czytelników. Obok tych bywają tu artykuły mogące zająć wszystkich, jak *Rok jeden z życia Iuljusza Słowackiego*, Maleckiego (wyjątek z przygotowanej biografji poety), *Pamiętniki Króla Poniatowskiego*, *Dzieje Wincentego Niemojowskiego*. Wszystko to rzeczy ciekawe, pouczające, ale czytelnik zwykł jeszcze szukać w piśmie czasowem obok tych zalet, odbicia i tętna swojej epoki, czém tutaj bardzo skąpo bywa



obdzielany. Część prospektu zapowiadająca « obraz ruchu umysłowego » najszerzej bywa wypełnioną sprawozdaniami o pracach literackich w słowiańskich krajach. Z polskiego zaś ruchu umysłowego, ogranicza się po części pismo na wyliczaniu bibliograficzném, bo recenzje dzieł, lub sprawozdanie rzadko się tu ukazują z prac świeższych, i tak : w ostatniem półroczu zamieszczone były : *Inwentarz przywilejów, listów, dyplomów, klejnotów, wydał Rykaczewski*, dalej : *Nauka o posiadaniu i zasiedzeniu własności według prawa rzymskiego, napisał Zielonacki*.

Do artykułów najwięcej odpowiadających zadaniu pisma, zaliczyć można *Biblioteki ludowe*, gdzie wyłożona konieczność oświaty mas, *Aphoryzmy* literackie, pisane z poglądem na czas obecny. Czytając jedno i drugie, wie się, że przed nami leżą pisma czasowe, a nie ustęp z dzieła lub kroniki. Dalej korespondencje z Galicji, Wiednia i Kijowa. Te ostatnie które pisuje p. Andrzej Janowicz, nie do życzenia nie pozostawiają, skreślają bowiem obraz życia i ruchu umysłowego Ukrainy jak najlepiej. Szkice pana Zacharjasiewicza *Kobieta w powieści i Kobieta w życiu* mile ożywiły pismo.

Redaktor ma zawsze zasługę, iż podjął tak trudne zadanie, jak wydawanie *Tygodnika Literackiego*; w obecnych warunkach w Poznańskim, spodziewać się trzeba, że istnienie pisma poda z czasem nie jednemu ochotę sprobowania zdolności swoich na tem polu, i że jeżeli od razu *Tygodnik Poznański* nie dorósł do wysokości *Dziennika Literackiego* wydawanego we Lwowie, zechce pójść jego śladem, zamieszczając co najwięcej artykułów, wpływających z obecnego ruchu umysłowego, a zarazem wpływających na niego.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI. Siedemnasty rok swego istnienia liczy to pismo; były lata iż obok *Gazety Wielkiego Księstwa Poznańskiego* pozostało samo na Wielkopolskę. Zdarzyło się to w czasach ogólnego ucisku prasy w całych Prusiech, a w szczególności w Poznańskim, gdzie dowolność policji przeszła już była w swawolę. Potrzeba było wielkiej ogłębności i wytrwałości, aby pismo utrzymać się mogło — redakcja *Przeglądu Poznańskiego* zdobyła się na nie, i wtenczas to jako jedyne światółko na horyzoncie tej części Polski zwracał ogólną uwagę na siebie. Panując sam jeden w tej

okolicy rozciągnął szeroko swój zakres i zamieszczał rzeczy ze wszystkich umiejętności, wyjąwszy z nauk przyrodzonych.

Dążenie pisma odznaczało się zasadami ultra-katolickimi, politycznie i społecznie skrajnego konserwatyzmu, nie polskiego, lecz w rozumieniu legitymistów kosmopolitycznych.

W tym kierunku redagowane było starannie i bardzo systematycznie. Przez taki pryzmat rozpatrywał się *Przegląd Poznański* w stosunkach politycznych i literackich, rozjątrzając przeciw sobie rozgłośniami w swoim czasie krytykami nad dziełami najpopularniejszych autorów, pisaniami z niesłychaną stroniczością. A pozostały te diatryby najczęściej bez odpowiedzi, ponieważ *Przegląd Poznański* był zakazanym w dwóch innych dzielnicach Polski, a we własnej okolicy, jakśmy wyżej powiedzieli, sam jeden się ostał z pism literackich. Miewało to pismo rozmaitych imiennych redaktorów, lecz rzeczywistym był i jest ksiądz Koźmian. Obecnie zubożało co do wewnętrznej treści, i wydawane nieregularnie w coraz dłuższych terminach; od początku bieżącego roku do pierwszych dni grudnia kiedy to piszemy, ukazał się tylko jedyny poszyt, których w ciągu roku powinno być ośm. Widocznie ma się ku upadkowi, w znacznej części zapełnia stronnice mowami pogrzebowemi, nadsyłanemi przez słynniejszych kaznodziejów. Dział krytyczny, choć z poglądem jednostronnym, ale tak starannie i ze znajomością rzeczy opracowywany dawniej, zastąpiony teraz sprawozdaniem, i to z dzieł w małej liczbie.

TYGODNIK KATOLICKI. Liczy trzy lata swego istnienia; redaktor ksiądz Prusinowski.

Pismo to wyłącznie poświęcone sprawom Kościoła, interesom katolickim. Przeważa tu dział, pod napisem *Kronika*, obejmujący sprawy archidiecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, jako i listy pasterskie z dyecezyj innych części Polski, i tym sposobem łączą się tu sprawy całego Kościoła polskiego. Korespondenci nadsyłają wiadomości z różnej części Polski reszty krajów europejskich, odnoszące się zwykle do spraw Kościoła. Jedyny tylko korespondent z Rzymu, wkracza na pole polityki, występując żarliwie przeciw jedności Włoch. Reprezentant tej zasady Wiktor Emanuel, i rycerski jej

obrońca Garibaldi, bywają przez niego obsypywani obelgami na jakie tylko słownik starczy, ubarwiając swoje opowiadanie anegdotami pomijającemi wszelką prawdę, tak dalece, iż to przechodzi w humorystykę.

Powtarzamy jeden taki ustęp, w tem przekonaniu, iż rozweselimy czytelnika.

Rzecz odnosi się do przygotowań wyprawy, tak niepomysłnie zakończonej dla Garibaldeggo :

«Wódz czerwonych koszul, którego nasze dzienniki świeżo jeszcze sławiły jako ideał patriotyzmu, waleczności, wspaniałomyślności i wszystkich zgoda zalet średniowiecznych rycerzy — wyjąwszy może nabożeństwa — rozpoczął na nowo swoje osobliwsze wycieczki, czyli raczej misje po obcych krajach. Na wzór bowiem misjonarzy, apostołuje on wszędzie dokąd się tylko udaje, i miewa formalne kazania do ludu, w których rozprawia o wierze, papieżu, Kościele i kanonach tyle lub nawet więcej niż o polityce. Tak np. przed kilku dniami w Palermo przemówił z balkonu do zgrai zebranej na jego powitanie ; rzekł, iż we Włoszech są trzy gangreny toczące naród : muratyzm, burbonizm i *papizm* ; dołożył, iż całe duchowieństwo katolickie dzieli się na kapłanów Chrystusa i kapłanów diabła ; pierwszymi naturalnie są ci, którzy myślą jak Garibaldi i rząd turyński, drugimi zaś są wszyscy biskupi i księża, to jest cały Kościół Chrystusowy z głową swoją papieżem. Powiedział nareszcie, iż w Rzymie odbyła się schadzka przeciwko jedności ojczyzny, i że wszyscy, którzy w niej udział wzięli, to jest wszyscy biskupi którzy adres do Ojca świętego podpisali, a w liczbie których znajduje się i nasz najczcigodniejszy prymas, są sługami diabła.»

Radzibyśmy wiedzieli w jaki sposób *Dziennik Poznański* tę grzeczność przyjaciela swego usprawiedliwia ?

«Takie szalone przemowy herszta bezbożności, wierny znajdują odgłos w czynach ich wykonawców i stronników. Religijne włoskie dzienniki, którym przynajmniej pozostała swoboda żalów i wykrywania przed światem niecných postępów fałszywych włoskich liberałów, napełnione są ustawicznie opisami gwałtów i świętokradztw, których dla tego nie powtarzamy ciągle, iż przyszłoby nam długie kolumny jednostajną zapełniać materją. Tak np. donosi *Difensore ca-*

tolico, że w jednym z miast kalabryjskich, którego przez wstyd nie wymienia, oficerowie piemontscy naśladować zupełnie służalców Heroda, uczynili sobie świętokradzką igraszkę z posagu Pana Jezusa *Ecce Homo*, wtłoczywszy mu czapkę żołnierską na głowę i dawszy w rękę miotłę, którą jak rozbestwione żydostwo tłukli obraz Zbawiciela, plwając nań, i złorzecząc Jemu.»

Jenerała Cialdiniego tak opisuje:

«Posłem do Petersburga, jest ów okrutny Cialdini sromotny zwycięzca z pod Castelfidardo, autor słynnych proklamacyj przeciw Ojcu świętemu, pierwszy najezdca kościelnej ziemi i morderca kościelnego wojska, zarządca okropnych jatek w prowincjach neapolitańskich, gdzie kilka tysięcy osób kazał rozstrzelać, znieważyciel Kościołów Pańskich, podpalacz Pontelandolfo, Casaldani i pięciu innych miasteczek, które z ziemią zrównał, oprawca stronników Ojca świętego w prowincji Ascoli, którą krwią zalał i t. d.»

Trudno odgadnąć co redakcją powodować może, do zamieszczania tak jaskrawemi kolorami kreślonych powiastek, przypuścić nie podobna aby to czyniła w zamiarze znalezienia wiary w czytelnikach, tem więcej, że to pismo bierze do rąk klasa wyżej oświeconych ludzi, po największej części duchowieństwo, które czytuje dzienniki polityczne i zna fakta zaszłe we Włoszech. Zresztą taka przesada ubliża powadze pisma religijnego, które winno przede wszystkim przestrzegać prawdy.

Pominąwszy tak niefortunnie dobranego korespondenta z Rzymu, inni współpracownicy *Tygodnika Katolickiego* nadsyłają wiadomości i artykuły odpowiednie zadaniu i powadze pisma, przeznaczone głównie dla czytelników duchownych z wyjątkiem niektórych, mających ogólniejszy interes, jak np. *Ostrzeżenie Unitów Chełmskich*, gdzie wybornie jest skreślone usposobienie kleru unickiego w Galicji, które na dźwięk moskiewskich rubli usiłuje się oderwać od przepisów Kościoła katolickiego i narodowości polskiej. Naczelne artykuły pisane zwykle dobrze, a niekiedy utalentowanym piórem. W ogóle pismo redagowane starannie, nie zbacza z wytkniętego kierunku, całość systematyczna, zgodna, przymiot rzadki w dziennikarstwie naszym.

Charakter wybitny katolicko-klerykalny, a nie katolicko-

polski, jak tego dowodzi długi szereg artykułów w nim zamieszczanych, niektóre wywoływały rozliczne protestacje, a mianowicie noszący nagłówek «*Dwie Wytyczne*» oburzając uczucia polskie, gdyż detronizowanie Mikołaja 1831 roku zostało w nim nazwane buntem przeciw prawej władzy. Było to zamieszczone w roku przeszłym, — w bieżącym *Tygodnik Katolicki* nie potrafił już żadnej z tak drażliwych kwestyj, zapewne spostrzegł, że to nie przynosi pożytku Kościołowi, gdyż nie antagonizm przeciwny uczuciom całego narodu i lekceważenie wydarzeń, zaliczanych do najszczytniejszych monumentów dziejowych, ale łagodzenie i porozumienie winno być zadaniem pisma religijnego.

NADWIŚLANIN. Trzynasty rok liczy swego istnienia, wychodzi w Chełmnie w Prusach Zachodnich, pod redakcją pana Danielewskiego, którego w czasie uwięzienia, zastępuje pan Chociszewski.

Pierwsze to polskie polityczne pismo, pojawiające się w tej dawnej dzielnicy rzeczypospolitej od czasu zaboru. Żywioł niemiecki płynie tam szerokiem korytem, zalane nim miasta i miasteczka, dwory szlacheckie w dwóch trzecich, włóścianie tylko pozostali tej samej krwi, jak byli przed najazdem.

Nadwiślanin położył sobie za cel wyjaśniać potrzeby ludności polskiej w kwestji narodowości, wykazywać ucisk jakiego doznaje, skreślając przytem obraz wydarzeń we wszystkich ziemiach polskich. Z europejskich wiadomości politycznych, podaje w streszczeniu najważniejsze, te zaś które mają związek ze sprawą narodu szczegółowiej. Znaczny wpływ to pismo wywiera na Prusy polskie, a zarazem zapoznaje ze stosunkami tamtych stron, i z żywiołem narodowym jaki ludność przejmuje, który dzięki Bogu przechował się czysty i silny, rozrastając się coraz mocniej pod wpływem obecnych okoliczności. Pismo to z żywem przejęciem dopełnia swego zadania, żarliwie broniąc podjętą sprawę.

W ostatnim kwartale zmienił się częściowo układ jego, teraz zamieszcza przegląd polityczny w krótkości i jasno skreślony, podający obraz ważniejszych wydarzeń europejskich. Dawniej ten dział nie był umyślnie dla pisma redagowanym, lecz powtórzonym z dzienników polskich, a najwy-

klę z *Poznańskiego*. Zmiana jaka nastąpiła, przydała wartości pismu. Byłoby jeszcze do życzenia aby *Nadwiślanin* nadsyłane korespondencje z większą krytyką przeglądał niż się dotąd działo; niewątpliwie wiele z nich mają wartość tak pod względem przedmiotu jak poglądu, ale nie brak i drobnych sprawozdań, mieszczących nieraz zaściankowe plotki, zbyt małej doniosłości by je wytaczać przed sąd opinii publicznej. Pewna oględność pod tym względem nadawałaby pismu więcej powagi, a przy szczęśliwym doborze korespondentów, i jednolitości poglądu, mogłoby się stać ogniskiem wydarzeń i czynności lokalnych rozdzielonej Polski. Lecz na to punkt prospectu (« Oddział korespondencyj otwartym jest dla wszystkich odcieni i stronnictw politycznych, byle polskich i umiarkowanych »), potrzebowalby być ścięśnionym, tém więcej że eklektyzm nie da się nastroić na ton wyższej harmonji, i prędzej zaciemni niż wyjaśni prawdę.

Przytoczone z prospectu słowa pokazują że *Nadwiślanin* nie odznacza się kierunkiem pewnym w zapatrywaniu się politycznem. Gorące uczucie dla sprawy narodowej jedna mu więźność, i pismo to cieszy się szerokiemi kołami czytelników.

Gazeta W. Księstwa Poznańskiego. Pismo to zaczęło być wydawanem w czasie okupacji tej części kraju przez Prusaków po wojnach francuzkich, blisko więc pół wieku liczy swego istnienia. Do roku 1848 była jedynym politycznym dziennikiem na Wielkopolskę, w którym to czasie zaczęły wychodzić kolejno, *Gazeta Polska*, *Dziennik Polski*, *Goniec*, aż znowu nadszedł czas samowładnych rządów policyjnych i ostała się tylko *Gazeta W. Księstwa Poznańskiego*. A ostała się dla tego iż wychodzi z woli rządu, utrzymywana jego kosztem. Jeden z niemieckich drukarzy pobiera potrzebną sumę na wydawanie *Gazety*, i ten wyszukuje dla niej redaktora, którym jest obecnie p. Kamiński. Nie znać tu wielu współpracowników, najwięcej artykułów przeniesionych z innych polskich dzienników a mianowicie z *Czasu*, a zresztą tłumaczone z niemieckich. Tego co się nazywa redakcją, nie masz tu wcale, ale raczj są to zebrane wiadomości, w taki sposób aby nie drażniły rządu, choć sądząc z pisma, nie jest redaktor obowiązany popierać jego interesu. Bierne

stanowisko zdaje się jest dostatecznem. *Gazeta* wydawana w takich warunkach mało ma prenumeratorów, i bez rządowego zasiłku, o znaczne straty przyprawiałaby przedsiębiorców.

Dziennik Poznański, pod redakcją p. Jagielskiego. Wychodzi od 1859 r., to jest od czasu kiedy piśmiennictwo w Prusiech odetchnęło swobodniej wprowadzeniem w używanie prawa prasowego z roku 1852, które przez lat siedm było w zawieszeniu. Powołanie dopiero nowego ministerjum przy objęciu rejencji panującego dziś króla, moc mu przywróciło. Wtenczas można było pomyśleć o piśmie politycznem polskiem i rozpoczęto wydawać *Dziennik Poznański*. Prospekt zapowiedział, iż zadaniem powstającego pisma będzie aby się stało organem narodowości, i broniło jej praw na mocy traktatu wiedeńskiego. Legalne stanowisko jakie zajęło, zmuszone okolicznościami, użyto szczęśliwie za punkt wyjścia, nie tylko w interesie narodowości, ale w ogólnych sprawach Polski. Obok tego, przeznaczeniem jego czuwać na kresach zachodnich Polski, aby być zawsze gotowym do odparcia nieustających napadów dziennikarstwa niemieckiego, jakie swemi wycieczkami usiłuje torować drogę znaną germańskiej cywilizacji na ziemi polskiej, i każdy środek uważa za dobry, który ten cel poprzeć może, Píše też niesłychane kłamstwa i brednie w zamiarze obalamucenia opinii europejskiej, *Dziennik* zbija je wyświecając prawdę.

W artykułach wstępnych bierze pod rozwagę sprawy miejscowe, mające interes powszechny; toż samo i z części polskich pod rządem moskiewskim i austriackim, lub z wydarzeń w obcych krajach mających doniosłość europejską. Pisane są te artykuły po większej części z poglądem jasnym na sprawy narodu, ogrzanym miłością ojczyzny, z przynależnem poczuciem godności obywatelskiej, z gruntownością odpowiednią kwestjom wziętym pod rozwagę. Zapatrywanie polityczne — demokratyczne — nie w znaczeniu kosmopolitycznem ale polskiem, to jest z uwzględnieniem żywiołów, z jakich się społeczeństwo składa.

Taki jest oficjalny kierunek *Dziennika Poznańskiego*, ale miewa on jeszcze swoje partykularne zboczenia od tej urzędowej reguły, a w takich razach odskoki bywają dosyć dalekie. Tak dalekie, że nawet owa powszechnie znana zasada

polskiego rycerstwa : szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie, bywa pomijana, a wyraźnie baczność zwrócona na to, kto pochodzi z zamku a kto z zaścianka, i dla pierwszych okazuje to pismo pewne uwzględnienie. Odnosić się to zwykło i do stronnictw polskich, oznaczonych najwydatniej w Emigracji, z których jedno zdaje się barwić karmazynem, a drugie ćmieć szaraczkiem pod przykryciem *Dziennika*. Przytoczymy jeden z przykładów, wybrany dla tego, iż w swoim czasie *Przegląd Rzeczy Polskich* prostował mylne wieści. Zamieścił *Dziennik* list z Londynu, opisujący zeszłoroczny obchód listopadowy, który się na tem miał zakończyć, iż demokraci z powodu odczytania listu generała Zamojskiego, w taki nieprzystojny gniew wpadli, iż wyparli cały mityng z sali, prezydujący Anglik, stenografowie i liczni przyjaciele Polski ratowali się ucieczką jak mogli. Pozostałych zaś Polaków z przeciwnego stronnictwa schwycili demokraci *za czuby*, jak się korespondent wyraził. Wątpić wolno, czyliby o towarzystwie historycznem z równą skwapliwością zamieszczał *Dziennik* nie już ubliżające wieści, ale rzucające cień na nie w czemkolwiek, nie przekonawszy się pierwój o prawdzie.

Wiadomości zagraniczne bywają w *Dzienniku* redagowane z pism francuzkich lub niemieckich, stałych korespondencyj nie miewa, od czasu do czasu chyba zamieści list z Paryża, rzadko bardzo z Rzymu lub Londynu. Rzeczywiście nie pismo na tem nie traci, dzienniki miejscowe lepiej zbadają stosunki i skreślą obraz zdarzeń, niżeli Polak, który nie ma funduszów angielskich korespondentów do zakupywania wiadomości, błąka się więc samopas wśród cudzoziemców, susząc sobie głowę, zkąd wziąć świeżych wieści, i kończy na tem, że ich idzie poszukać w drukowanych pismach. Inne mają znaczenie korespondencje z krajów polskich, bez nich najważniejsze wydarzenia przepadłyby nieraz bez wieści. Korespondenci to rzeczywiście publicyści, tam gdzie brutalna cenzura pęta myśli, sroży się o każde słowo, a dzienniki przestały być organem potrzeb i przekonań narodu. Gdzie więc dziennikarstwo mniej uciśnione, tam jest obowiązkiem patriotycznym, postaranie się o korespondencje, tem więcój, iż te mogą skutecznie wpłynąć na opinią stron własnych, i rozświecić drogi idącym po omacku. *Dziennik Poznański* nie uważa znać tego za tak konieczne, ponieważ dotąd nie za-

mieszcza stałych korespondencyj. Długi wprawdzie szereg miejsc z kąd mu takowe bywają nadsyłane, bo to z Wilna, Kowna, Kijowa, Żytomierza, Podola, Warszawy, Lwowa, Krakowa i t. d., lecz się to dzieje nader sporadycznie, zdarza się iż korespondent raz jeden się odezwie, a potem zamilknie już na wieki. Są czasy, iżby ktoś mógł całe tygodnie czytywać *Dziennik*, a przysięgłby, że nie zamieszcza nigdy korespondencyj. W takich perjodach bezkorespondencyjnych pożyczają ich z *Czasu*, a choć czytelnicy o dni kilkanaście dowiedzą się później, co zaszło w Warszawie, pozostaje im zawsze ta pociecha : że lepiej później jak nigdy.

Najwięcej przychodzi czytelnikom *Dziennika* żałować korespondentów z Galicji, jeżeli ci zamilkną, gdyż wybornie piszą, z poglądem jasnym a głębszym, z uczuciem gorącym, polskiem. Nie tak szczęśliwy traf nadarza warszawskich, choć bywają i z tamtąd bardzo dobre czasami nadsyłane korespondencje, ale zdarzają się i takie, iż dziwić się przychodzi, że je zaszczyt druku mógł spotkać. Do tych ostatnich zalicza się mianowicie pisujący pod znakiem X, który w czasie przyjazdu W. Ks. Konstantego z Petersburga, gęsto *Dziennik* zasilał. Pisywał on o szczęśliwości, jaka na Kongresowe Królestwo spłynąć miała z przybyciem carewicza, a większa jeszcze z wyboru takiego męża, jak margrabia Wielopolski. I jał też zapewniać : iż wszyscy rozsądni ludzie zgodzić się muszą najzupełniej z obecnym stanem rzeczy, którego ledwie się dotknął, już go z chaosu wywodzi naczelnik rządów cywilnych. W tem padł strzał na W. księcia, całe piekło oburzenia zawrzało w piersi X, nie mógł znaleźć wyrazów do wypowiedzenia swojej zgrozy, więc też nazwał zamach — *królobójstwem*. Wkrótce potem przecie zamilkł, jak się zdaje na wieki, a *Dziennik Poznański* jak przedtem tak potem nie zamieszczał już panegiryków na cześć Wielopolskiego, ale go osądza jak zasługuje. A zdaje się, iż nie potrzebuje zamieszczać rzeczy przeciwnych swoim zasadom, gdyż licząc blisko dwa tysiące prenumeratorów, posiada środki do pozyskania korespondentów odpowiednich kierunkowi pisma.

Redakcja *Dziennika* w ogóle jest prowadzoną starannie, niekiedy tylko czytelnicy obywać się muszą przez czas dłuższy bez wstępnych artykułów, najrdzenniejszej części pisma, a jakieśmy wyżej już wspomnieli, w znacznej części z jasnym

poglądem i z przejęciem polskiem pisanych, i dla tego właśnie więcej czuć się brak ich daje.

Wziętość *Dziennika* z każdym rokiem wzrasta, co jest najlepszym świadectwem wartości jego. * * *

ROK 1862.

SPRAWY ZAGRANICZNE.

Paryż, 25 grudnia 1862.

Od pierwszego wystąpienia kwestji włoskiej, — nie wśród poufnych rozmów kilkunastu dyplomatów w zamkniętym salonie, — ale w obliczu świata całego, — od tego czasu każdy rok ubiegły przekazywał następcy swemu dzieło niedokończone równie nie rozwiniętem ale i równie groźnie dopominajacem się o wykończenie, jak je od poprzednika swego przejął. Ludzie wszystkich opinij zarówno nieśmiało witali każde zbliżenie się nowój wiosny; a czy z chwiejącą się nadzieją, czy z niepewną trwogą, — zależało tylko od tego, które w kim uczucie silniejsze : wiara w przyszłość albo miłość przeszłości. Bo każdy nie od dzisiaj już poznał, że kwestja, tak jak postawioną była światu nad Tessynem, przy odgłosie dział i bębnow, była prostym *lapsus lingue* dyplomatów europejskich. Widocznem było odrazu, że granicą jej nie mogła być ani owa urzędownie zgóry zapowiedziana Adrjatyku, ani Alp tyrolskich, ani też Renu nawet, która, co najwięcej stawiała im przed oczyma w chwilach z jednej strony największego zapędu do czynu, a z drugiej najwyższego jasnowidztwa przyszłości. Każdy rozumie, że na dnie jej leży inne pytanie, niż to : czy poseł włoski zasiędzie kiedykolwiek na Kapitolu, — albo czy Wenecja na zawsze ma pozostać austriacką? Inna, stokroć ważniejsza dla ludzkości kwestja ! Owo tajemnicze przyszłości zagadnienie, na które wiek nasz już raz napróżno kuśił się odpowiedzieć : monarchizm czy narody?

Węgry a daleko jawniej i dobitniej Polska usunęły ostatnie wątpliwości w pojmowaniu tych rzeczy. Dawny problemat, który dyplomacja na wieki usunąć myślała, odżył widomie dla wszystkich. Sam tylko wypadek jego dotąd może się nazwać niepewnym. I nie dziw ! W wieku naszym z każdym

dniem nowe występują siły działające : tysiąc nieznanych przeszłości a krzyżujących się z sobą potrzeb, chimerycznych żądz i trwóg, przetwarzających stan rzeczy przez swoje wpływy niewidzialne i nieokreślne, ale nie mniej przeto potężne. W czasach tych kwestje tak olbrzymiej wagi, jak powyższa, nie mogą — niestety ! — znaleźć ostatecznego rozwiązania, by pracy téj nie poprzedziły chwile smętne, trwożnego zawahania się na drodze, całe lata medytacyj herakle-sowskich, które często nareszcie jaki *Deus ex machina* dziejowej Opatrzności przerywa. Tem bardziej zaś, jeżeli jak teraz, dziełu takiemu towarzyszą nieznanne dotąd w świecie politycznym powawy, nowe formy historyczne, które zrazu nawet ludziom dobrej woli utrudzają wspólność i pojęć i pracy.

Idea narodowości występowała przed światem aż do niedawna zazwyczaj ręka w rękę z myślą socjalnego postępu; a zawsze w powstańczym jakimś obozie, wśród ludzi dla których wojna nie rzemiosłem, ludzi poświęcających swe mienie i życie, wyjętych z pod prawa i idących prosto do celu, bez oglądania się na wątpliwości kół dyplomatycznych albo na cudze fantazje o równowadze europejskiej. Słowo odpowiadało tu zawsze czynom i czyn słowu. Bo ludzie ci wyraźnie wskazywali światu, dokąd dążą; a tam, gdzie na-przód przewidzieć mogli, że prąd bronionej przez nich myśli nie zatrzyma się, jeżeli zwycięży na pasmie gór albo nad brzegiem rzeki, dzielącej naród od narodu, tam też już naprzód na chorągwiach swoich pisali : « za naszą i waszą wolność. » Dyplomacja tu dopiero po ukończonem szczęśliwie dziele występowała z nieproszonem rozjemstwem. Pierwszy to raz podczas wojny włoskiej myśl równouprawnienia narodów stanęła na placu bojowym w otoczeniu wojsk regularnych, dyplomatycznej świty i całego monarchicznego splendoru. Ale zarazem pierwszy raz przecząca sobie samą, z kłamstwem na ustach ! To też skoro tylko odnalazła i dawnych swych towarzyszy i dawną odwagę doświadczenia prawdy, wnet zmalowały fawory królewskie i na miejscu sztucznej federacji z roku 1859 zaczęły się po za mgłami rysować znane z 1848 dwa przeciwne sobie obozy : monarchji i narodów.

Ale proces ten nie odbył się w jednej chwili, dotąd się jeszcze toczy. Tylko postęp jego coraz mniej wątpliwym a illuzje tych, co tryumf samodzielności narodowej opierają na

czynnej pomocy gabinetów, po każdym dniu coraz bardziej blednieją.

Przed czterema blisko laty kiedy dyplomacja sto pułków i tysiąc armat miała ku obronie jednego uciśnionego narodu, oddzielne od niej ludowe powstanie zdobywało Varese zaledwie w kilkutyśiecznej sile. Ale później zdobyło ono połowę Włoch i zrealizowało, — wbrew nawet życzeniom tamtej i mimo wszystkich stawianych przez nią przeszkód, — tę samą myśl jedności włoskiej, którą ona pod Villafranca odbiegła. A później jeszcze ta sama potęga ludowa odezwała się w głosach sejmu chorwackiego, w Słowiańszczyźnie tureckiej, w Węgrzech i Polsce i nareszcie na całym, tak zwanym, ucywilizowanym świecie. Równocześnie zaś, i w miarę coraz jednomyślniejszego podnoszenia praw narodowości przez same ludy, sztuczny ów i pełen hypokryzji sojusz dyplomacji z wolnością przechodził wszystkie fazy powolnego psucia się, aż z końcem bieżącego roku stał się już tylko nominalnym.

W rozkładzie tym przymierzów nienaturalnych a skupieniu sił uzupełniających się nawzajem i rzechy można, stworzonych na to by się wzajemnie wspierały, rok dosięgający obecnie kresu największe zasługi położył. Wobec przyszłości pozostanie mu na zawsze ta cecha, odróżniająca go od dwóch lat poprzednich, z którymi, pod innym względem, nie jedno go łączy. Bo jak tamte tak i on był świadkiem głównie tylko zbrojenia się skrytego dwóch antagonicznych partyj. Widomie ani sprawa ludów ani monarchizm żadnego w nim stanowczego nie święciły tryumfu. Ale dodać tu trzeba, że dla pierwszej już to pewną wygraną stanowi, iż stanęła na nowo na swoim gruncie i z niejednego nieprzyjacielskiego czoła zdarła maskę przyjaźni. Mniej straszny wróg w przeciwnym obozie niż we własnym.

W rządzie tegorocznych, zagranicznych wypadków najwidoczniej to się przebiega w przebiegu sprawy włoskiej. Rok nasz zastał Włochy w żałobie po stracie człowieka, któremu w wielkiej części teraźniejsze odrodzenie swoje winny, jednego z tych, których postacie olbrzymieją, odkąd je otacza królewski majestat śmierci, — a historia życia staje się po wieki ludową legendą, odsłaniającą zwycięztwo jednej wielkiej lecz zapoznanej prawdy. Na nieszczęście naród włoski nie zrozumiał jęj odrazu. I przyszło do tego, że aż większe

cioty, niż śmierć owa, powtórzyć mu ją musiały: groźba wojny domowej i zatury świeżo co zdobytej wolności.

Cavour stał się w dyplomacji tem, czem był w swoim czasie Lammenais dla hierarchji kościelnej. Całą swą młodość strawił na jej usługach i w przekonaniu o wzniosłości jej posłannictwa. W ciągu swego tak ruchliwego życia, nie najmniej rozwinął energii w walce, którą nie długo po wojnie wschodniej stoczył z stronnictwem rewolucyjnego ruchu. I zdawać mu się mogło, że nie napróżno zyskał ówczesny chwilowy poklask wszystkich konserwatystów a zwłaszcza całej dyplomacji europejskiej. Bo jego celem życia było, zapanować nad nią i zrobić z niej narzędzie dla swego patriotycznego zamiaru. Następne już lata ujrzały urzeczywistnienie tego programu, — tej myśli, poczet jej może nazajutrz po nieszczęśliwym dniu Novarry, kiedy na pobojowisku konali jeszcze ludzie, co szli naprzód z hasłem: *Italia fara da se*. Przyszły współwzkrzesiciel Włoch zupełnie odwrotną przyjął dewizę; a gdy po raz pierwszy spostrzegł wahanie się i odstępstwo tych, którzy mu zrazu służyli dla niej, nie wzdrygnął się przed ofiarą najboleśniejszą, najstraszliwszą, na jaką zdobyć się może człowiek narodu: przed poświęceniem części swojej ojczyzny.

Nareszcie przyszła i dla niego chwila stanowczego rozbratu z illuzjami. Minister królestwa włoskiego zerwał tak samo z całą tradycją swojej przeszłości, jak ów wielki hereziarcha naszego wieku; i ku niewymownej zgrozie wszystkich swoich dawnych przyjaciół stanął odrazu na tym samym rewolucyjnym szczycie, gdzie od lat wielu stał dawny jego przeciwnik, przez całą dyplomację po stokroć wyklęty Garibaldi.

Ze zgonem mistrza stanęło w ruch wprawione koło. Następcy jego wrócili na stanowiska, które on za życia opuścił. Ricasoli urzędownie zapowiadał termin po terminie, w którym Włochy z rąk rządów miały w darze swoją stolicę odebrać. Naród włoski najzupełniej podzielał domysły swojego ministra. W pamiętnym posiedzeniu sejmowym z 6 grudnia r. z. jeden tylko głos deputowanego *Petrucelli* przedstawiał rewolucyjne środki jako najpewniejszy sposób załatwienia rzymskiej kwestji. Izba oświadczenie to z oburzeniem przyjęła a z następnych mów najwięcej przyklasnęła tej, która wskazywała na drogę — miłości.

Nawet sama śmierć Cavoura stała się odłąd jednym szczeblem wyżej dla nowo odrodzonych nadziei. « Rząd francuzki (głoszono powszechnie) nie będzie chciał sprawę, którą sam przed chwilą czynnie popierał, pozostawić w położeniu tak krytycznem, w jakie ją stawia utrata najzręczniejszego jej szermierza. Przyczyną dawniejszej niechęci jego nie tyle mógł być napad na prowincje papiezkie, na który się poprzednio zgodził, ile raczej groźba uderzenia na Rzym, z którą taילו się wprowadzie ówczesne ministerjum, ale którą same wypadki głosiły. Z ustąpieniem więc z pola głównego ich kierownika upaść także powinny i dawne nieporozumienia. Francja we własnym swym interesie musi związać się na nowo z Włochami, które przez pozyskanie Rzymu w dwójnasób silne, staną się dla niej tem niezawodniejszą podporą. »

Nadziejom tym nie odpowiedział skutek. Poselstwo francuzkie wróciło wprowadzie do Turynu a stosunki dyplomatyczne między obydwoma państwami już od 15 czerwca r. z., w dziewięć dni po śmierci pierwszego ministra włoskiego, na nowo zawiązane zostały. Ale też na tem koniec. Rok 62gi znalazł kwestję okupacji Rzymu na zupełnie tem samem stanowisku, na którym ją Cavour zostawił.

Już w początkach marca r. b. Ricasoli od władzy odstąpił. Ze wszystkich spraw, które zalegały w aktach ministerstwa zagranicznego, jeden tylko niegroźny i śmieszny spór z dworem Madryckim o neapolitańskie archiwum został za niego załatwiony. Falszywy prorok, chociaż w dobrej wierze, — skoro tylko stracił wiarę w nieomylnosć swych rachub a nie chciał czy nie umiał odszukać nowych dla siebie kolei, wołał ster rządów złożyć w inne ręce, niż stać się tacytejskich wieków augurem.

Ale tem mniej następca jego okazał tej szlachetnej drażliwości sumienia. Ratazzi zaraz na samym wstępie rozwinął przed parlamentem włoskim cudowny programat ministerjalny, w którym przyobiecuyał wszystko, co tylko cały kraj mógł sobie życzyć, — a głównie zaś to, o czem sam nie wątpił, że się urzeczywistnić nie da. W przemowie tej nie najmniejszą odgrywała rolę wznowiona zapowiedź zdobycia sobie Rzymu przez dyplomatyczne wpływy. Jednakże czasy wiary w podobne przepowiednie wówczas już przeminęły. Upadek przeszłego ministerjum zrodził Tomaszków bez liku.

A podczas, kiedy jedni z rezygnacją wypowiadali niemożliwość rychłego dojścia do owego celu i tymczasowo zalecali skupienie sił narodu około wewnętrznych prac; drudzy, równie nieufający ministerjalnym obietnicom, sami podjęli się odszukać drogę do Rzymu. Partja ruchu coraz mniej dawała oznak dawniejszej swój uległości. Z rosnącą jej siłą wzrastała tem bardziej jej żądza czynu, im mocniej uległość, służalstwo nowego rządu dla gabinetu Paryzkiego, każdą ku temu nadzieję podawały w wątpliwość. Oko i serce narodu częściej zwracało się w stronę Caprery, niż ku pałacom ministerstw w Turynie.

Garibaldi oddawna już nie tail swego oburzenia. Człowiek, który odwagę a przede wszystkim prawością swą w chwili największego niebezpieczeństwa wydzwignął z toni sprawę niepodległości i jedności swego narodu, nie mógł zachwycać się widokiem zniżania jej do poziomu narzędzi w parlamentarnych intrygach. Nadto czuł dobrze, że czasy wielkich prób dla niej na nowo wróciły.

Wprawdzie cała północna część królestwa nie wzniewała najmniejszej obawy. Ani Medjolan, ani Florencja albo Genua, wbrew wszystkim konjekturom naszych modnych historjografów nie zrywały się do wojen domowych. Żaden głos ich nie zażądał zerwania narodowego węzła, by na nowo uświęcić rzeczy minione. Ale tym smutniejszy widok przedstawiało całe południe. W neapolitańskim napady band burbońskich coraz większe przybierały rozmiary. Zła administracja w Sycylii, nadużycia władz i wzrastające coraz niezadowolnienie nie mniej także odbierały żywotnej siły młodemu królestwu. Wojska wysłane do Neapolu nie mogły podoleć ukrywającym się wśród gór ochotnikom Franciszka II. O uspokojeniu umysłów zaś ani na chwilę szczerze nie pomyślało ministerjum. Same nieszczęścia kraju były dla niego pożądaną tylko bronią naprzeciw demokratycznej opozycji. Odpowiedzialność za nie w większej połowie zwałono, jak zawsze, na głowę Mazziniego, — wygnać! Druga jej część dostała się pod niewyraźnym adresem Garibaldiemu w udziale.

Stan ówczesny rzeczy we Włoszech przedstawiał pewną analogją do czasów bardzo niedawnych. Przed trzema laty, kiedy myśl zjednoczenia Włoch stanęła na chwilę na połowie

swój drogi, stronnictwo federacji, jedyny wówczas groźny wewnętrzny nieprzyjaciół, zaczynało swą podziemną ale nie zupełnie bezskuteczną pracę cofnienia rzeczy zaledwie dokonanych. Wówczas to Sycylijska wyprawa zadała mu cios, rzec możnaby śmiertelny, gdyby nie cudowny dar ministerstw włoskich wskrzeszania leżących w grobie.

Z powtórzeniem groźby, powtórnie ukazał się myśli Garibaldegemu ten sam środek, który wówczas tak się skutecznym okazał. Ale żyjąc na swoim ustroniu, Sycylijski bohater nie spostrzegł od razu, że w politycznej konstelacji zaszły od owego czasu zmiany olbrzymie, z których nie najmniejszej wagi w samym parlamencie, przy ministerjalnym stole.

Skutkiem to zapewne takiego postanowienia nastąpiły w maju owe zajścia w Bresciji i Sarnico, w których wówczas mało kto widział prolog do dramatu wielkich rozmiarów. Dziwna tajemniczość tej sprawy, niewyjaśnienie jej przyczyn i zatajenie nazwisk przywódców przez rządowe i rewolucyjne organa, wśród zobopólnych tak z jednej jak z drugiej strony miotanych naprzeciw sobie, dwuznacznych groźb, dają tu prawo przypuszczeniom tylko, nie zaś stanowczemu twierdzeniu. Bądź jak bądź, czy niewczesne owe wybuchy stały się na rozkaz dany z Caprery, czy też były wybrykiem niecierpliwości kilku nieznanych ludzi, w wynikłym zła antagonizmie dwóch wewnętrznych partyj, w jednej z nich całe już stronnictwo demokratyczne objętem zostało. Wojna między niemi stała się już nieuchronną.

Miedzyaktowy periód biernych opozycyj niedługo potrwał. W lipcu już z Sycylii, dokąd Garibaldi się udał, dochodziły wieści coraz groźniejsze dla pokojowego stronnictwa. Z początku były to tylko doniesienia o manifestacjach słownych, o przemówieniach publicznych generała, któremi chciał wzniecić w sercach ludu poczucie własnej godności i w oczach błysk rycerskiego ognia. Ale niebawem ujrzano dawnych ochotników, spieszących napowrót pod rozkazy swojego wodza: żywe i nie wahające się świadectwo, że okrzyk: « Rzym albo śmierć, » nie był platonizmem westchnieniem.

Wprawdzie jedno jeszcze było schronienie dla nadziei tych, którzy naprzód widzieli niewczesność zaimprovizowanej wyprawy. W sąsiednim Montenegro toczył się bój bohaterski, bez nadziei, w którym kilkunastotysięczny naród stawiał



czoło całemu tureckiemu państwu. Dalmacja i Chorwacja czekały tylko na sposobność do wybuchu. Cała Słowiańszczyzna turecka jawnie gotowała się do ogólnego powstania. Niepotrzeba było, jak tylko jednego człowieka, jednego głośnego nazwiska, by tlejące się te iskry zamienić w jeden wielki ogień, któryby pochłonął najzaciętszego wroga Włoch, — Austrię. Można więc było wątpić jeszcze o nieodwołalności wypowiedzianego programatu i sądzić że wódz Sycylijski inny przed światem tai cel wyprawy, inny na większe rozmiary plan kampanji, w którym pierwszą odgrywają rolę Słowianie południowi i Węgry. A niejedna dawna zapowiedź, niejedno z jego szlachetnych słów współczucia dla cierpień obcych mu narodów wspierały te domysły.

I kto wie czy zamiar podobny nie zawładnął przelotnie myślą nowego trybuna? Kto wie? Może znany głos Mazziniego: «za rychło!» przestroga doświadczenia i przyjaźni, albo inny jaki, słowiańskiego ochotnika w obozie, zachwiała go w pierwotném swém postanowieniu. Może téż jaka z tych chwil intuitycznych, tajemniczych przeczuć, w których człowiek widzi przed sobą jeden fatalny moment swój przyszłości, cały obraz przerażająco wierny, narysowany jakąś niewidzialną ręką. W każdym razie pamiętna owa odezwa do narodu węgierskiego, na którą równocześnie w tak namiętnych wyrazach odpowiedzieli Klapka i Koszut zyskałaby niezaprzecznie na podstawie, a nawet, rzeklibyśmy, i szczerości. Na nieszczęście zamiar ten (jeśli tu wolno nam osobistemu przypuszczeniu dać formę stanowczego twierdzenia) nie na długo zachował swoją przewagę. Hasłem ruchu pozostało *Roma o morte*, a wieść o wylądowaniu wojsk ochotniczych w Kalabrii zgóry zagroziła wszystkim samowolnościom w domysłach.

Odtąd cały świat z nateżoną uwagą śledził ruchy powstańczego wojska. Wszystkie umysły zwróciły się ku południowi w tych samych oczekiwaniach, obejmujących całą gamę uczuć ludzkich od sympatji do wstrętu, jak wówczas, kiedy ten sam wódz, który teraz stawiał czoło uznanemu przez dyplomację porządkowi rzeczy, odnawiał w czynie dawny myt wyprawy Jazońskiej. Każdy pytał się: czy wojsko włoskie będzie chciało z bronią w rękę zagrozić drogę do Rzymu tym, którym nie chciało, czy nie mogło wzbronić przeprawy

z Sycylii w Neapolitańskie? A jeśli ono cofnie się przed wypełnieniem ministerjalnych rozkazów, — co dalej? Czy rząd francuzki, mimo wszystkich swych grózb, będzie chciał zerwać odrazu z najnowszymi tradycjami swój polityki i bez wahania przyjmie bój, który łatwo zamieniłby się mógł na walkę, nie tylko jawną z Królestwem włoskiem, ale na utajoną, moralną, z stronnictwem rewolucyjnym całej Europy? Wypadek samego spotkania między trzydziestotysięcznym wojskiem francuzkiem, a dwoma tysiącami ruchawicy Garibaldiego nie mógł być i na chwilę wątpliwym. Ale, gdy ono zwycięży, czy poprzestanie na samej obronie miasta wiecznego? Czy raczej nie przestąpi granic małego terytorjum papieskiego, by szukać winnych w samym Neapolu, może i w Palermie! I znowu co dalej?..

Nagła wiadomość o zajściu pod Aspromonte położyła tu kres każdej niepewności: obawom i nadziejom. Niebezpieczeństwo wielkiej wojny minęło na teraz, a ogłoszenie stanu oblężenia w całym dawnym neapolitańskim królestwie zadawało mu i na przyszłość. Dostojniki giełd i banków mogli znów śmiać się wesoło ze strachów, które stwarzała im przed chwilą własna ich wrażliwa wyobraźnia. Namiętności polityczne, odzywające się tak szorstko podczas całej wyprawy, po tragicznym jej zakończeniu ucichły i ustąpiły miejsca łagodniejszemu uczuciu. Przy łożu niebezpiecznie rannego jej naczelnika znalazły się wszystkie nieomal partje, złączone w jednym wspólnym życzeniu. Pisma publiczne, z małym wyjątkiem, nawet przecząc sobie samym, zaczęły podnosić wielkość poświęcenia i czystość jego zamiarów. Ministerjum włoskie pod naciskiem wyraźnej bardzo opinii publicznej wyrzekło ogólną amnestją i — wspaniałomyślnie poprzestało na kilkudziesięciu egzekucjach. — Wiek nasz umie być czasem sprawiedliwym i szlachetnym! Prawda, że naprzeciw tym tylko, których złamał w nierównej walce, a wprzód nim padli, błotem obryzgał.

Zwycięstwo, które odniósł Ratazzi było więcej niż Pyrusowem zwycięstwem. Samo jedno wystarczało by go zgubić, chociaż tylko, w opinii publicznej. Odkrycia niektórych z tajemnic jego gabinetowych, których ono stało się przyczyną, odsłoniły całego człowieka, nie przypominającego w niczem symetrii bohaterskich pomników. Stało się to zaraz

po zebraniu się na nowo deputowanych izby poselskiej. Sejm zwołany w trzy przeszło miesiące po zwyciężeniu Garibaldiego zażądał od ministerjum wytłumaczenia się z téj zwłoki: «Czemu nie zażądało sankcji izb, zanim poddało połowę królestwa pod militarne sądy! Czemu ociągało się tak długo z wyrzeczeniem aktu przebaczenia, skoro samo bezpieczeństwo kraju żądało spieszniejszej decyzji?» Do skarg tych przyłączyły się i inne. Trzech deputowanych, których wbrew powszechnemu prawu o nietykalności posła uwięziono w czasach rozruchów, zażądało parlamentarnego sądu na ministrów.

Wówczas to przy wyciąganiu na jaw osobistych rzeczy, nastąpiły owe rewelacje, pourywane, niedokończone, ale aż nadto wyraźne. Prezes ministerstwa włoskiego nie był tak obcym wyprawie na Rzym, jakby to sądzić można z not dyplomatycznych kolegi jego, a zwłaszcza z owych dwudziestu przeszło egzekucyj! W smutnej alternatywie między zarzutami nieudolności a nikczemnego podstępem, jakie odtąd wsząd spotykać go musiały, nie było dla niego ratunku. Pamięć na dawniejsze chwile w publicznej jego karierze, na świeżo zaszłe uznania królestwa włoskiego przez Rosję i Prusy, nie mogła mu nawet tytułu zręcznego dyplomaty wyrobić. Zaszłe zmiany w gabinecie francuzkim i odwołanie z Rzymu Lavaletta, zbyt jasno o jego krótkowidztwie świadczyły. Wyrok sejmu naprzód był do przewidzenia. Ogromna większość izby zespoliła się na chwilę w jednym wotum niezauważania. Ratazzi ubiegł szczęśliwie publiczne jego ogłoszenie i złożył swój ministerjalny urząd, nie unosząc z sobą niczyjój z kraju sympatji, gorzej nawet! bo żał *Constitutionnel'a* i jego politycznych stronników.

Zachowanie się gabinetu tuileryjskiego wśród tych burz sąsiednich zajmuje od lat czterech najważniejszą kartę współczesnej nam historii Francji. Tylko ważność tę jego nie zawsze czyny podnoszą. Przeciwnie, w ciągu ostatniego zwłaszcza roku ani na chwilę nie wystąpiło z ram téj polityki, którą samo francuskie dziennikarstwo wyczekującą nazwało. Ale dodać trzeba, że pośrednio nie tylko w własnym narodzie ale na całym świecie rozbudziło tem silniejsze życie, im mniej samo oznak jego dawało. Nadto trudno odmówić podziwu akrobatycznemu artyzmowi téj polityki. Stronnicy władzy świeckiej

papieża jak i obrońcy praw narodu włoskiego, opierający swe nadzieje na dyplomatycznych interwencjach, od pierwszego miesiąca roku dzielili się prawdziwie po bratersku jęj dobrodziejstwami i faworami. Zarzut stronnicości zapewne nigdy jęj nie dotknie. Obraz zmian jęj, tych niedostrzegalnych dla gołego oka różnic w cieniowaniu sympatji i nie-nawiści, bezwątpienia najciekawszem jest ale i najmożliwszem studjum historycznem do naszych czasów.

Nieporozumienie między Lavalettem a Goyonem, rozstrzygnięte w maju powrotem ambasadora francuzkiego do Rzymu, dawało z początku pewną przewagę partyzantom narodowości nad klerykalnem stronnictwem. Później, na wieść o zbrojeniu się Garibaldeggo, ultramontanie nowęj nabrali otuchy. Ale i te nadzieje upadły, nie przeżywszy ani na chwilę zakończenia włoskiego ruchu. Głośnie przepowiednie o bliskiem zakończeniu czasów prób dla wojującego Kościoła nie ziściły się. Po Aspromontskiem zwycięztwie Ratazzego, nawet półurzędowe organa paryżkie zaczęły domagać się od rządu cofnięcia załogi z Rzymu. Czyn taki niedawno przedtem mógł mieć pozor ustępstwa przed groźbą, wobec rozbitego nieprzyjaciela mógłby nazwać się dobrodziejstwem i aktem wspianiałomyślności. Niebezpieczeństwo wywołania w własnym swym kraju wroga możnego i doświadczonego w zapasach z rządami, zmniejszył sam czas i powolne przygotowania umysłów. Sam tytuł wielkodusznego dobroczyńcy, którego w danym razie dziennikarstwo francuzkie nie omieszkalooby z emfazą zażądać dla Francji, niejednego obrońcę kościelnych interesów podbiłby swoją świetnością. Natomiast realne korzyści takiego kroku były widoczniejsze wówczas, niż kiedykolwiek. Anglja straciłaby na długo swe wpływy we Włoszech, które w ostatnich zwłaszcza czasach zyskała. Mocarstwa zaś stałego ładu, osłabione wewnętrznymi rozdwojeniami, poddałyby się bez oporu hegemonji Francji, popartej wdzięcznością narodu włoskiego.

Historja jednakże nie zna melodramatycznych tych chwil, w których intryga dramatu kończy się rozrzewniającą szlachetnym czynem, apoteozą i ogniem bengalskim. Rozczarowanie tu nie nastąpiło wprawdzie tak rychło, jak przedtem w przeciwnym obozie. Nadzieje zwolenników ewakuacji Rzymu, podniosły się nawet na czas pewien z ukazaniem się w *Mo-*

nitorze listu cesarskiego i instrukcji dla pełnomocnika francuzkiego przy dworze papieżkim. Równocześnie ogłoszone sprawozdania z konferencyj odbytych między Lavalettem a Antonellim wyraźniej jeszcze świadczyły o chęci gabinetu paryzkiego, by przełamać długoletni upór kurji rzymskiej. Polityczne debaty nabrały odtąd dytyrambicznój siły. Cały liberalizm, przeciwstawiający się stronnictwom rewolucyjnym, stawiał się do apelu i chcąc zwycięztwo swoje przyspieszyć, naprzód je głosił. Ale na dyplomatycznój arenie, gdzie w całym swym średniowiecznym blasku powiewa jeszcze sztandar interesów dynastycznych, zasada narodowości i tak zwana rewizja traktatów, pozostanie na zawsze najniegodniejszem stanowiskiem. Na polu tem nie Lavaletty to i Thouveneles zwyciężają najczęściej, ale kardynał Antonelli. Nagle ustąpienie z posad obudwu tych dyplomatów i zamianowanie następcami ich pp. Drouyn de Lhuys i Latour d'Auvergne, stało się nowym dowodem na powyższe twierdzenie.

Tak w ciągu roku jednego, stanowiska dwóch wielkich, nieprzyjaznych sobie partyj, po raz już czwarty się zmieniły. Liberalne stronnictwo ustępując ostatecznie przeciwnikom tego, któremu wpływ i opieka rządu daje w kraju przewagę, zostawiło im zarazem niejednego ze swych szeregowców. Zmiany gabinetowe nadają nie samym tylko domysłom politycznym inny kierunek, u wielu także — żądaniom.

Z ostatniem tem zwycięztwem konserwatystów, dawna zaciętość dwóch obozów o wiele się już zmniejszyła. Myśl publiczności skierowała się do innych, bezpośrednio samą Francją obchodzących wydarzeń. I nie pierwszy to raz w tym roku waga wewnętrznych spraw zadominowała tu nad zajmowaniem się sprawą włoską. W pierwszych miesiącach były to głównie innowacje w budżecie państwa, dzieło ministra Foulda, któremu towarzyszyła natężona uwaga narodu. Ogrom deficytu lat poprzednich czynił zmianę systemu w rozrządzaniu dochodami kraju niezbędną i tem samem podnosił ważność zaczętej pracy. Ale więcej jeszcze niż czysto finansowe pomysły nowego ministra (zamiana renty cztery i pół procentowój na trzy procentową i rozkład budżetu na dział zwyczajny i nadzwyczajny) zwróciły wówczas na siebie uwagę, polityczne następstwa samój rewolucji gabinetowój. Minister

Fould, przyjmując swą tekę, zażądał zgóry rozszerzenia atrybucji prawodawczego ciała przy wotowaniu budżetu państwa. Reformy téj, uczynionéj w kierunku konstytucjonalizmu, uczepiły się nadzieje wolnomyślnego zawsze ogółu. Spodziewano się, że pociągnie za sobą inne zmiany dotyczące się praw reprezentacji ludowéj. Polityczne pisma dzienne z natężeniem wyczekiwały modyfikacji prasowego prawa i zachęcając rząd ku niéj, nie szczędziły śmiałych przepowiedni. Jak zwykle skończyło się na tych ostatnich a interes ogólny zwrócił się w inną stronę, ku sprawie, która wbrew nadziejom przeszłego roku zaczęła przybierać rozmiary wielkiej i wysiłającej cały kraj ekspedycji.

Od 31 października r. z., dnia w którym Francja wspólnie z Anglją i Hiszpanją podpisały konwencją londyńską, określającą cele i polityczne znaczenie wyprawy Meksykańskiej, tak wielkie i niespodziane w stosunkach sprzymierzeńców do siebie zaszły zmiany, że sprawie téj nadały inny zupełnie, niezgodny z artykułami traktatu charakter. Pierwotnym zamiarem wszystkich trzech rządów było jedynie osiągnięcie zadośćuczynienia za niektóre krzywdy, wyrządzone poddanym ich w Meksyku. Konwencja londyńska dzięki przeczności lorda Russell stanowczo zapobiegła każdej innéj interpretacji wspólnego przedsięwzięcia. Najwyraźniejszym jéj ustępem jest ten, w którym Meksykanom gwarantuje zupełną wolność stanowienia o swoim rządzie. Ale « niezawsze żywy czyn da się powstrzymać martwéj literze traktatów. » W obecnym razie aksjomat ten niemieckiego historjozofa do niewierzenia szybko sprawdził się. W niespełna dwa miesiąca po zakończeniu konferencji londyńskiej, pisma półurzędowe paryzkie znalazły już swego kandydata do meksykańskiej korony. Był nim austriacki arcyksiążę Maksymiljan.

Głos powszechny uznawał w tem objaw rzeczywistych celów rządu francuzkiego. Wiadomo jak monarchiczna Francja mało ma — szczęścia w stosunkach swoich z krajami, które rzeczypospolite tworzą. Dosyć wspomnieć tu Szwajcarię, Wenezuelę, Montevideo. Historia Meksyku, po Zjednoczonych Stanach amerykańskich największej z istniejących republik, zdawała się świadczyć o tem, że zmiana rządu nie napotka na nieprzewidywane trudności. Kraj ten w ostatnich zwłaszcza latach, był świadkiem nieustających rewolucyj.

Sama stolica jego nieraz zmuszoną było otwierać bramy swe oblegającym ją wojskom, dziwnej, fantastycznej zbieraninie wszystkich szczepów krajowych, od czystej krwi Hiszpana aż do *Pintosa* południowych prowincyj, trząsącego się od zimna wśród najłagodniejszego w świecie klimatu. Ostatnia wojna domowa między Juarezem, wybranym przez cały naród, a Miramonem, młodym awanturnikiem, popieranym przez kler i ultramontańskie partje, zakończoną została zupełną klęską dla ostatniego. Mało więc przemawiało za tem, że większość narodu nie jest szczerze republikańską. Ale natomiast inne świadectwa popierały bardzo wymownie wprost temu przeciwne przypuszczenia. Kilku zbiegów, kilku zdrajców narodowej sprawy, między którymi głównie odznaczył się Almonte, zaręczało z ręką na sercu o dozgonnej wdzięczności ludu meksykańskiego naprzeciw tym, którzy tylko zechcą dostawić im z Wiednia požądane Habsburga.

W początkach stycznia wojska sprzymierzone stanęły na ziemi Meksyku. Wszystko zapowiadało im zrazu prędkie, stanowcze i szczęśliwe działanie. Wylądowanie w *Vera Cruz* i zajęcie obronnego portu, wbrew powszechnym trwogom, odbyło się bez krwi rozlewu. Ale niebawem i z każdym dniem widoczniej zaczęły pojawiać się przeszkody i niebezpieczeństwa, o których w Europie ani pomyślano. Reprezentanci mocarstw poróżnili się układając listę roszczeń rządów swoich. Jenerał Prim i Charles Wike nie zgadzali się na liczne, wygórowane żądania francuzkie. Do tych wewnętrznych niesnasek, osłabiających siłę koalicji w pierwszym zraz jej wystąpieniu, przyłączyły się inne, czysto zewnętrzne, ale nie mniej dla niej fatalne okoliczności. Przybory jej wojenne, niezbędne do pochodu wojsk okazały się zupełnie nie wystarczające. Zapowiedziane przez Almontego powstania na korzyść jej a przeciw istnjącemu rządowi nie ziściły się. Sprzymierzeni zamiast wspaniało przyjacielskiego, tryumfalnego przyjęcia, zastali naród zbrojący się do wojny. W zajętej przez nich okolicy żółta febra dziesiątkowała ludność a obcy żołnierz częściej jeszcze niżli krajowiec, podpadał śmiertelnej chorobie. Podczas więc kiedy Meksykanie zbierali swoje siły, w obliczu wojsk ich, obozy mocarstw europejskich zamieniały się na lazarety. Parlamentarze Juareza, przyjęci zrazu z wszystkimi oznakami niechęci do układów, skutkiem wypadków

tych po kilku zaledwie tygodniach, nie mieli już powodu do uskarżania się na zbyt wojenne usposobienia przeciwników. Na dniu 19 lutego podpisane nareszcie zostały praeliminarja pokojowe w Soledad : z jednej strony przez Manuel Doblada, z drugiej przez Wike, Saligny i Prima. Rząd rzeczypospolitej zobowiązał się w nich w ogólnych wyrazach do zadośćuczynienia za popełnione bezprawia, pozostawiając 15^{mu} kwietnia bliższe ich wyszczególnienie. Zarazem otwartą została dla wojsk sprzymierzonych droga do *Orizaby*, *Cordowy* i *Tehreacanu*, miejsce w stosunku do *Vera-Cruz* zdrowych i obfitujących w żywność. Ostatnie to ustępstwo zrobionem zostało ze strony Juareza pod wyraźnem zastrzeżeniem, że w razie, jeżeli nie przyjdzie do pokoju, wojska na swe dawne stanowiska powrócą.

Przedwstępna ta ugoda bardzo rozmaicie przyjęta została przez europejskie rządy. Jedna Anglja tylko zgodziła się na nią bezwarunkowo ; Hiszpanja ze swój strony robiła rozmaite zastrzeżenia, chociaż ostatecznie nie odmówiła jej zobowiązującej siły ; Francja stanowczo ją odrzuciła.

Tymczasem wysłane pod dowództwem generała Lorencez posiłki dla wojsk francuzkich, zrównoważyły dotychczasową przewagę hiszpańską w Meksyku, zarazem też dokonały ostatecznego rozkładu w działaniach sprzymierzonych. Generał Prim zawiadomiony przez Almontego o kandydaturze Maksymiljana i o postanowieniu dowódcy francuzkiego, nie wchodzić w żadne nadal układy, opuścił wspólnie ze swym wojskiem kraj nieszczęśliwy, który po zakończeniu tylu wojen domowych, dotąd jeszcze nie mógł znaleźć chwili spoczynku. Anglja uczyniła tak samo ; a cały ciężar wyprawy przyjęła odtąd sama Francja na siebie. Ale Meksykanie nie wiele skorzystali na tej redukcji liczby swych przeciwników. Siły, które w kilka miesięcy później naprzeciw nim Francja wysłała, przewyższyły w trójnasób blisko ubytek sześciu hiszpańskich pułków i jednego angielskiego bataljona. Wypadek wojny nie może być dla Meksyku wątpliwym. Sam smutny stan finansów jego, nie dozwoli mu przetrzymać jednego nawet roku wojny, w razie, jeżeli sama przemoc przeciwnika nie złamie go w pierwszym zaraz starciu. Sam cel jednakże wyprawy się zmienił. W skutek nieszczęśliwej dla Lorenceza utarczki pod Pueblą, wystąpiła w programacie francuzkim na

pierwszym planie, przed każdym innym względem, żądza zwyciężkiego odwetu; a jeśli mamy zawierzyć konfidencjonalnym zwierzeniom się publicystyki paryżkiej, wojna ta zakończyłaby się po pierwszym lepszym zwycięstwie dla Francji. Byłby to nowy internacjonalny pojedynek: jedna z tych spraw honorowych, która bezowocnie życia tysięcy ludzi marnuje, a na jaką wiek nasz już raz patrzył się z żalem. W obecnym jednakże razie, kiedy przelew krwi nie da się już powstrzymać, obrót ten sprawy mógłby się nazwać szczęśliwym, bo dałby przynajmniej nadzieję, że nierówna ta walka nie skończy się zupełnym upadkiem słabszego.

Z rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich w Meksyku, cała już północna Ameryka stanie się teatrem wojny. Stany Zjednoczone od roku niszczą zasób swój sił i dóbr, które im kilkadziesiąt lat pokoju nagromadziło, wśród walk najstraszliwszych, jakie zna nowożytna historia. Od czasu krwawej zeszłorocznej klęski pod *Bulls-Run*, zwycięstwo z dziwną szybkością przechodziło od obozu do obozu, nie dając żadnemu ostatecznej nad drugim przewagi. Całe armje kolejno zapadały się w ziemię i niespodzianie powstawały na nowo, tylko silniejsze, tylko pewniejsze zwycięstwa. Nagłość zmian tych niepojęta jest dla naszej Europy, której militarne tradycje mało są zgodne z tą nadludzką prawie energią, z tym zimnym, obrachowanym i pewnym siebie fanatyzmem, jakiego przykład cała daje północna Ameryka. Rzechy można, że *nowy świat*, który przez pół wieku był dla niej niezrównanym wzorem zręczności i siły w przemyśle, handlu i wszystkich pracach pokoju, chce nim także i w sztuce niszczenia ich pozostać.

Po trzydniowej morderczej bitwie nad brzegami Pontomaku nadszedł czas największych prób dla *białego domu* w Waszyngtonie. Rozpaczliwe położenie armji północnej po klęsce pod *Bulls-Run* powtórzyło się na moment. I więcéj jeszcze! Waszyngton zagrożony od nieprzyjaciela barykadował już swoje ulice i czekał najnierówniejszej walki. Nawet na północ od niego leżące miasta, nawet Baltimore wyglądało codziennie napadu Jacksona, najzręczniejszego i najhazardowniejszego generała w armji separatystów. Tryumf demokratów nad republikanami zdawał się być już rzeczą dokonaną. Europejscy strategicy przepowiadali go na mie-

siące i godziny; cały konserwatyzm, który rad przedstawia obrońców niewoli jako rycerzy wolności, nie posiadał się w swoich nadziejach; gabinety z radością gotowały się do oficjalnego uznania rządu w Richmondzie i narzucenia mu w zamian za to kilku traktatów handlowych. Ale radość tę swoją niedługo miarkować musiały. Świeże zaciągi na nowo wzmocniły linię bojową Mac Clellana a konfederaci po całej serii krwawych i zaciętych bitew, zostali napowrót odparci i zmuszeni teraz myśleć o swojej własnej obronie. Do klęsk zaś ich na placu bojowym, dołączyła się niebawem i przegrana wobec opinii publicznej.

Publikowana przed blisko trzema miesiącami odezwa Lincolna, w której Waszyngtoński prezydent ogłosił prawo o zniesieniu niewoli, postawiła przed światem sprawę północy na stanowisku słuszności i postępu, jakiego nie pozbawi jej żadne zaprzędane pióro europejskich literatów. Bo zagroziła zgóry wszelkim przypuszczeniom, że kwestja zniesienia niewoli murzynów obcą jest całej wojnie i tak samo przeciwną istotnym żądaniom partji republikańskiej jak demokratów. Umiarkowanie i wzgląd na położenie przeciwników w podanych w niej warunkach pokoju, równie jak stanowczy i wybitny jej programat socjalny, daje jej wyjątkowe miejsce w rzędzie dokumentów wojen domowych. Moralna tu wyższość Lincolna nad gwałtownym i namiętym Jeffersonem Davis, jeszcze jawniej okazała się w tegomiesięcznym jego okólniku. Pismo to zwraca się głównie naprzeciw zboczeniom zdań i sądów w Europie, które pod naciskiem prasy, wojującą naprzeciw każdej myśli wolności i postępu z niezrównanym zapałem i bezwstydem, nie mogły rozwinąć się swobodnie i niezależnie od postronnych wpływów. A chociaż każde z tych pism i teraz jeszcze nie odstąpiło od tradycji dawnych swoich numerów i rzuca się w zapasach ze swą własną loiką, — to poważne i jasne słowo amerykańskiego prezydenta widocznie coraz to więcej wyzwała z pod ich wpływu opinią publiczną.

Bierny udział gabinetów europejskich w amerykańskiej wojnie, ma więcej jeszcze w sobie historycznego znaczenia, niż same jej przejścia krwawe i obraz krzyżujących się z sobą dróg jej, któremi przebiegała swoją największą na całym świecie scenę. Upadek przemysłu i handlu w Stanach Zjedno-

czonych, w skutkach swych boleśnie dotknął dwa największe mocarstwa w Europie. Okoliczność ta, najgłówniej wpłynęła na zachowanie się ich na przeciw zaatlantyckiej wojnie. Francja od samego początku nie miała się ze swą sympatją dla sprawy separatystów, chociaż w czynie, aż do ostatniej swej zmiany ministerjalnej zachowała najzupełniejszą neutralność. Dopiero Drouyn de Lhuys wystąpił otwarcie z chęcią pośredniczenia, i w listopadowej swej nocy, zażądał od innych mocarstw wspólnego ku temu działania. Połączony wpływ monarchyj europejskich miał sprowadzić sześciomiesięczne zawieszenie broni, a otworenie portów południowych dla europejskiego handlu, zapobiedz dalszym nieszczęściom robotników w Rouen i Liwerpool. Tymczasem zaś mógłby za tem samem pośrednictwem przyprowadzony być do skutku traktat, kładący kres wojnie domowej...

Ale projekt ten, mimo wielkiej djalektycznej zręczności jego redakcji, tak przez Rosję, jak Anglią, stanowczo został odrzuconym głównie z tej przyczyny, że w łatwych do przewidzenia następstwach sprowadzić musiał konieczność zbrojnej interwencji. Anglia zwłaszcza, która po szczęśliwie zakończonej na początku roku sprawie *Trentu* z radością widziała oddalające się niebezpieczeństwo wojny z najpotężniejszym swym współzawodnikiem na morzu, nie czuła żadnego w sobie powołania do odżywiania napowrót dawnych gróźb. Plan francuzkiego ministra, w braku jakiegokolwiek bądź poparcia, nie przestąpił granicy życzeń, i zanim się w życiu okazał, przeszedł do dziedzin historii.

Podczas kiedy tak zachód i południe Europy w ciągu roku ani na chwilę nie spoczęły wśród trosk, niepewności, drgań owych, jakie w każdym organizmie wywołują silne wzruszenia albo nagły przestrah, wschód jej i centrum równie w niczem nie przypominały dawniejszego sennego perjodu historii, zakończonego wypadkami włoskimi. Nawet w Prusiech, gdzie najobłudniejszy liberalizm w połączeniu z najbezwstydniejszą zarozumiałością zapowiadał długie lata szczęścia i pokoju, przyszło do wstrząśnień politycznych i w następstwach ich do smutnego rozczarowania. Niemiecki liberalizm, który w każdym innym narodzie widzi na śmierć wskazanego helota, zakosztował po raz pierwszy goryczy życia.

I nic zgóry nie zapowiadało tej burzy w szklance wody. Sam

nawet deputowany ów, który postawił pamiętny w dziejach pruskiego parlamentaryzmu wniosek, dotyczący obrad izby nad budżetem, nie domyślał się zapewne, jak niespokojny rok czeka wszystkich jego współkompatriotów. Liberalni koledzy Auerswalda nie przenieśli na siebie ustępstwa czegośkolwiek z ministerjalnego samorządu, i pospieszyli się z rozwiązaniem izby. Ale równocześnie, — i w tem cały komizm sytuacji, — sami także opuścili swoje stanowiska. Nowi deputowani ujrzeni przy ministerjalnym stole ludzi, których nawet z nazwiska nie znali. Bezwarunkowe uszanowanie samego urzędu, jakim szczyliły się dawniejsze legislatury, zaczęło ustępować pola niedowierzaniom i oględności. Obrady budżetowe powtórnie dały hasło do jawnego opozycyjnego wystąpienia. Izba odmówiła swej sankcji wydatkom na powiększenie wojska, i w samym środku obrad swych na czas niepewny została odroczone. Ministerjum po raz drugi uległo radykalnej zmianie. Na czele nowego, stanął dawny poseł w Paryżu, Bismark, osobistość więcej wybitna, niż poprzedników jego, ale mniej jeszcze obfitująca w konstytucjonalne skrupuły. Rosnące wzburzenie w kraju, objawiające się zresztą w bardzo niewinnej formie zaalarmowało z początku nowego naczelnika rządów. Dla odwrócenia opinii publicznej w inną stronę, spróbował więc zrazu podnieść nieco dawną kwestję holsztyńską. Jednakże nieskuteczność środka, — a może i kilkudniowy pobyt jego w Paryżu, dały przeminąć bohaterowskiemu zapędowi, a kwestji tej spocząć na nowo w bundestagowych aktach. Tymczasem agitacje liberalów rozlały się po kraju w potokach słów ognistych, a te ze swej strony wywołały owe bez końca próby niezrównanej wymowy Hohenzollerów, którym dotąd jeszcze świat się dosyć nacieszyć nie może. Królewskie te elukubracje zamykają tegoroczny okres zawiślań pruskich, okres rozpoczynający się od wyrazów, jakie w historii innych narodów bywały wstępem do wielkich i wspaniałych reform, — ale zakończony sposobem tirad Hejnego.

Tem tragiczniejsze za to rozwiązanie czekało inną europejską sprawę, kwestję samodzielności jednego słowiańskiego szczepu, najdrobniejszego ale i najszcześliwszego zarazem, aż do niedawna, w swoich stuletnich zapasach z wrogiem.

Z początku roku, Czarnogórcy jeszcze zwycięzko bronili

swoich granic, — i przez długi czas zdawać się nawet mogło, że los tej wojny nie zmieni się tak rychło. Buletyny Omera paszy, w których zapowiadał zwycięstwo po zwycięstwie, nie postępując ani kroku naprzód, przyzwyczały całą Europę śmiać się z tureckiej wiktoryi, i zapominać o tem, że to walka jednego przeciw dziesięciom. W jednej chwili nawet, niewątpliwem już zdawało się zwycięstwo małego bohater-skiego narodu. Było to wówczas, kiedy strzały na ulicach Białogrodu, — kiedy porwanie się całej Serbji do broni, zapowiadało mu bratniego sprzymierzenia. I w istocie trudno było przewidzieć niespodziany zwrót sprawy serbskiej, bo trudno pomyśleć, że naród wychowany w najbardziej rycerskich tradycjach, wykołyszany w nienawiści do wroga, w pamięci o Kosowem polu, tak łatwo ustąpi przed pierwszym słowem dyplomacji, przed jedną obrażającą szorstką odezwą angielskiego ministra.

Konferencja Carogrodzka poszczycić się może ocaleniem Porty, dla której ostatnia godzina już się zbliżała. Jest to jeden z największych tryumfów dyplomacji londyńskiej, ułatwiony wprawdzie przez dziwnie niefortunne stanowiska jej przeciwników. Rosja opiekunką narodowości! Nieprzyjaciel to niestraszny na tem polu, gdzie każdy jego wyraz staje się szyderstwem dla niego. Ks. Gorczakow widocznie pochlebiał sobie, że jeżeli nie na placu, to wobec opinii publicznej zwycięży, bo najpierwszy zapublikował swoje noty dyplomatyczne, w których się za Serbją ujmował. Omylił się; świat przyjął krok ten z milczeniem pogardy, bo nikt nie chciał głośno nazwiska Polski wymówić.

Serbja uspokoiła się wymarszem załóg tureckich z kilku swych miejsc obronnych; a wkrótce też Montenegro, złamane przemocą, podpisało upokarzającą konwencję i otworzyło nieprzyjacielowi drogę do kraju. Słowiańska niejedność w działaniu, słowiański brak jasnowidztwa politycznego, których ofiarą padały niegdyś nadelbiańskie plemienia, po siedmiu wiekach powtarza się w téj samej, co dawniej sile. Rząd serbski nie poznał się na chwili. Wkrótce po rozbrojeniu się jego, ujrzała Turcja nad granicą swoją nowego lecz oddawna znanego sobie wroga. Naród grecki zrzekł się bawarskich rządów i podczas niebytności swego króla wziął odwet za swoją niedawną pod Nauplią przegraną. Stary

generał Grivas ścigał już swe wojska ku prowincjom tureckim, kiedy powstrzymał go rząd tymczasowy w Atenach. — Rząd ateński poznał, że czas stanowczego kroku minął, zanim jeszcze samo powstanie wybuchło. Był to ten, w którym wojska Omera baszy łamały się wśród skał Montenegro, a któremu i Serbja bezowocnie przejść dała.

Odtąd powstańcy greccy rzucili się do wewnętrznego uorganizowania kraju. Najbliższą kwestją stał się wybór następcy Ottona. Rząd petersburski miał już oddawna swego kandydata na pogotowiu. W pierwszej już chwili wybuchu, Rosja zaczęła potajemnie intrygować na rzecz młodego Leuchtenberga. Traktaty z roku 1830 i 1832 wykluczające od korony greckiej familje panujących w Anglii, Francji i Rosji, bynajmniej nie przeszkadzały jej w dziele. Cały świat zdawał się zapominać o dawnych zobowiązaniach. Nawet londyński gabinet, ku powszechnemu podziwowi, mimo rozgłosu rosyjskiego manewru nie zaprotestował naprzeciw łamaniu podstaw konwencji. Zagadka ta wkrótce i nie z korzyścią Rosji rozwiązana została. Zręczna dyplomacja angielska po raz już drugi w tym roku pobiła przeciwnika na własnem jego polu. Na długi czas przed elekcyjnym terminem, przestało być tajemnicą, że nie rosyjski książę ale syn Wiktorji pozyska głosy greckich wyborców. Codzienne manifestacje miast greckich i zapal ludu, z jakim naprzód wypadek elekcji ogłaszał, nie dozwalały wątpić o tem. Wówczas to rosyjskie ministerjum przypomniało sobie nagle wspomnianą ugodę. Wpływ jego w połączeniu z francuzkim wymógł wprawdzie na Anglii oświadczenie, iż nie przyjmie wyboru. Ale Grecja nie odstąpiła dotąd swego zamiaru w nadziei, że wyraźna wola niepodległego narodu przeemoże gabinetowe groźby.

W każdym razie rząd rosyjski na zawsze swoje wpływy na Grecją utracił. Lord Russell publicznie ponowił dane potajemnie przyrzeczenie ustąpienia Grecji wysp Jońskich. Pierwsze miesiące przyszłego roku ujrzą zapewne nieznanie dotąd w dziejach zjawisko, gdzie rząd monarchiczny zażąda od europejskiego kongresu pozwolenia na zrzeczenie się dla dobra obcej mu narodowości powierzonych mu przed laty ziem. — Krok ten podniesie Anglią w opinii wszystkich narodów i zapewni jej większe wpływy, niżby to mogła naj-

szcześliwsza i najkrwawsza wojna. Największą zaś jęj wyświadczy przysługę, jeżeli polityce jęj nada na przyszłość kierunek zawsze i wszędzie zgodny z prawami narodów, z prawdą i sprawiedliwością i zabezpieczy ją na przyszłość od przyjmowania na siebie tak niegodnej roli, jaką wobec serbskiej sprawy przyjęła.

Tak więc jedyni tylko Grecy, z wszystkich narodów, umieli w tym roku zwyciężyć, — bo sami jedni tylko nie widzieli się odrazu skrępowanymi przez groźby, wpływy i intrygi gabinetów. A wszędzie zresztą, czy we Włoszech, czy w Ameryce, czy w Słowiańszczyźnie południowej, wdanie się dyplomacji było zawsze po stronie ujarzmiającej i przeciw wolności narodów. Odtąd mylić się w ocenianiu jęj pomocy nie wolno; dwuznaczności już nie ma. I w tem, powtarzamy, cała naszego roku zasługa; bo wobec ciągłego poniżania ludzkiego słowa przez hipokryzję i bezwstyd — sam tylko czyn już oskarża obłudę i kłamstwo.

MAZUR

NA ROZWIĄZANIE TOWARZYSTWA ROLNICZEGO (1).

Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy,
Więc rozwiązał swym ukazem
Legion rolniczy.

Przypomina twoje długi
Rycerski człowiecze!
Że żelazne twoje plugi
Czas przekuć na miecze.

Wszak młocarnie i żniwiarki
Bezczynnne nie zgniją,
Żąć i młócić wrogów karki
Jest agronomią!

(1) Wiersz ten ogłaszamy jako pamiątkę z ostatnich czasów życia Władysława Syrokomli.

Gospodarka trzypolowa
Wrogom się podoba,
Łan Poznania, łan Krakowa
Wzięli Niemcy oba,
Moskwa wzięła resztę łanów
Polski, Litwy, Rusi,
Więc reforma płodozmianów
Kłuć ich w oczy musi.
Czy już pół tych nie odbierzem?
Czy już rady nie ma?
Złącz Łokietka z Kazimierzem
To polska systema.
Miecz i lemiesz w swoją kolej,
Wyborne narzędzie,
Łan zasiewaj, krwią go polój,
A pszenica będzie.
Gdy trzy łany wyrwiesz dziczy,
Gdy się kąkol wytnie,
Nasz odwieczny *Dom rolniczy*
Znowu nam zakwitnie.

Kowno, 10 kwietnia 1861 roku.

Władysław SYROKOMLA.

SPRAWY KRAJOWE I EMIGRACYJNE.

W 10tym numerze *Ruchu* czytamy co następuje :

Jedność, zgoda, karność, dają siłę a więc i owoce wszelkiemu poświęceniu i pracy. Tylko przez nie przygotowanie się narodu do boju z wrogami stanie się powszechnem i obszernem, tylko przez nie powstanie odnieść może zwycięstwo nad tyranami Polski. Prawdy te, przytomne są w sercu każdego Polaka rzeczywiście oddanego sprawie oswobodzenia ojczyzny. Kto usiłuje jedność narodowej organizacji rozerwać, źle



dąży do obranego celu, jeżeli go posiada. Tylko dla zupełnej zdrady pożądane jest rozerwanie, popierane niestety mimo wiedzy przez ludzi źle zrozumianej gorliwości. Odpychać więc należy wszelkie namowy i odrzucać wszelkie obietnice, w imię których dzieją się usiłowania rozerwania; bo nad wszystkie obietnice, robione chociażby przez ludzi rozgłosu i talentu, — jest siła narodu w jego organizacji spoczywająca. Usiłowania takie od pewnego czasu są coraz częstsze. Nie mogąc prostą drogą zaszkodzić organizacji, używają dzisiaj broni potwarzy i fałszu. Wielopolski, który celom moskiewskim daje pozory polskie, obrzuca razem ze swoimi przyjaciółmi organizację i jej władzę zarzutami socjalizmu, zbrodni, nieporządku, wyzyskiwania grosza publicznego i t. p. Mała zaś inna koterja, miejsce dla swoich potwarzy znalazła w dzienniku francuzkim, umieszczając w nim zarzut, podpisany jakoby przez generała Mierosławskiego, że Komitet Centralny Narodowy wyrzeka się Litwy i Rusi dla mniemanej pomocy rewolucjonistów rosyjskich (1).

Na wszystkie potwarze nie zwykliśmy odpowiadać. Tym razem przez wzgląd dla imienia, które dawniej przywykliśmy szanować, zawiadamiamy naród o tem co następuje: —

(1) Wzmianka ta odnosi się do listu generała Mierosławskiego, umieszczonego w paryżkich dziennikach: *Opinion Nationale*, *Siècle* i *Presse*, a w polskiem tłumaczeniu przez *Baczność* powtórzonego. List ten brzmi jak następuje:

« Panie Redaktorze. Przeczytawszy w wielu dziennikach powtórzenie doniesień policji rosyjskiej w Warszawie o Centralnym Narodowym Komitecie, którego miałbym być Prezydentem, udaję się do pańskiego dziennika z prośbą o zaprzeczenie temu niezasłużonemu zaszczytowi. Nie trudniłbym nawet Pana tą reklamacją, gdyby *Kołokoł*, organ rewolucjonistów rosyjskich, w niedawnym swoim numerze nie był umieścił adresu owego domniemanego Komitetu Centralnego, którego zostawia dwie trzecie polskiego kraju przyszłej Moskwie odrodzonej, w zamian obietnicę współczucia i pomocy, tyle akurat wartych co i ten zastaw. Dość zdaje się przytoczyć taki akt takiego Centralnego Komitetu polskiego, ażeby się przekonać, że nie o nim nie wiedziałem, dopóki obie strojne propagandy rosyjskie nie zeszyły się w objawieniu światu jego egzystencji. Paryż, 10 listopada 1862 r. Ludwik Mierosławski. »

Komitet Centralny nigdy się nie przyznawał do prezydencji generała Mierosławskiego, i bronił się od wszelkiego w tym względzie podejrzenia. Jego odezwę do wydawców *Kołokoła* osądziliśmy w Nr. z 15 października 1862 r. jako niezgrabny krok polityczny; lecz od niezręcznego wzięcia się do zaprzeczania części Polski niezmierna istnieje odległość, na którą zwracamy uwagę czytelników.

(Przyp. wydawcy.)

Potwarcze te zarzuty z przeciwnych obozów rzucane, mają jeden cel : raz, osłabienia i zabicia ruchu narodowego ; drugi raz, spowodowania rozdwojenia na korzyść człowieka, którego, w odwołaniu się do położonych przezeń w przeszłości zasług, chcą wynieść po nad kraj i jego sprawę. Spotykamy się jeszcze z obwinieniami z jednej strony, ludzi niecierpliwych, którzy szlachetną chęcią jak najprędzszego powstania ożywieni, wywierać usiłują parcie na władze organizacji, — które to parcie nietylko że nie przyspieszy, lecz przeciwnie osłabić może jęj sprężystość, a tym sposobem ociągnąć i odłożyć chwilę stanowczego wystąpienia. Z drugiej strony ludzie, którzyby sprawę osadzić chcieli na śliskich drogach legalizmu, obwinieniami innego rodzaju, usiłują wspierać parcie, mające na celu sprowadzenie organizacji z drogi jedynie narodowej.

W takim położeniu rzeczy, Komitet Centralny Narodowy uważa za swój obowiązek oznajmić narodowi, że władzę swoją wykonywać będzie ze sprężystością i energią konieczną w obecnem położeniu i w tym celu postanowił, zgodnie z ustawą, surowo karać wszystkie zamachy na jedność i całość organizacji i nie dopuszczać żadnego parcia, zmniejszającego siłę i powagę władzy Komitetu. W skutek tego, poleconem zostało wszystkim władzom tak miejskim, jak i prowincjonalnym, pilnie strzedz ludzi namawiających do odstępstwa od organizacji, do nieposłuszeństwa jęj władzom, i o takich donosić Komitetowi ; z drugiej strony zawiadamia, że tylko drogą organizacji, to jest przez naczelników wojewódzkich i miejskich lub przez komisarzy, odbierać będzie wszelkie propozycje od ludzi stojących po za organizacją.

Dla położenia zaś końca kłamliwym zarzutom co do zasad wypowiedzianych przez organizację, Komitet Centralny Narodowy oświadcza, że w postępowaniu swoim od zasad wyrażonych w programacie nie zboczył i nie zboczy. Komitet Centralny Narodowy doloży wszelkich starań, ażeby wywalczyć niepodległość Polski w granicach *przedrozbiorowych* przez powstanie całego narodu *na dobry skutek obrachowane*. Gdy przygotowania przedpowstańcze wydobędą siłę, która da możność wystąpienia i zwyciężenia Moskali i Niemców, wówczas bez oznaczonego naprzód terminu, zarządzi powstanie, które prócz niepodległości, wywalczyć powinno wolność dla

wszystkich Polski mieszkańców, bez różnicy stanów, oraz równość i poszanowanie praw ludów z Polską złączonych.

Zasada, na której Polska opiera się, jest zasadą zupełnej wolności; jest prawem, którego nikt, ani też żadne okoliczności narodowi odjąć nie mogą, prawem stanowienia o swoim losie. Polska powstająca, nie może odmówić żadnemu ludowi tego prawa, które jest najwyższą sprawiedliwością — a przyznając je głośno Litwie i Rusi, tem samem odsuwa chęci lub chętki odłączenia się od Polski i stwierdza jedność i całość narodową Polski, Litwy i Rusi. Komitet Centralny Narodowy nie rozumie inną Polskę, jak tylko Polskę w dawnych granicach, i w tych granicach wskrzesi ją właśnie dla tego, że wypowiedział zasadę poszanowania woli ludów stanowiących z Polską jedno ciało, bo wypowiedzeniem tém dał im rękojmią zupełnej swobody; — tym sposobem nie wyrzekł się, nie odrzucił, ale wzmocnił ich stanowisko trwania w jedności z Polską. Każda wielka a słuszna zasada, daje siłę, bo łączy i skupia; wypowiedzenie też zasady poszanowania woli ludów, nie tylko że nie podniesie przeciwko powstaniu ludów w Polsce mieszkających, jak to widzieliśmy w Węgrzech w r. 1849, który dla tego, że tych praw uznać nie chcieli, narazili całą sprawę, — ale owszem poruszy cały naród od Odry po Dniepr do boju o niepodległość i byt w wspólnej swobodzie i w spólnych prawach, gwarantujących każdej prowincji stanowisko jej należne i wolne rozwijanie się jej narodowości.

Wszystkie centralizacyjne zachcianki, narzucanie przewagi jednej prowincji nad drugą i nieuznawanie woli narodu tam, gdzie się ona obudzi, jest jedynie w stanie rozerwać jedność narodową Litwy i Rusi z Polską. — Ci, którzy wykrzykują na całe gardło o tém, że chcemy odrzec się Litwy i Rusi, nie rozumiejąc rzeczy, odpychają kraje te od Polski swojemi chętkami przewagi, gdy my dając im zupełną rękojmią swobody, w jedności z Polską, tém samem utrwalamy. Tę zasadę wypowiedział programat organizacji; tę zasadę wypowiedział pierwszy numer *Ruchu*; tę zasadę wypowiedział list drukowany w Londynie, — wypowiadamy ją też i dzisiaj — i dzisiaj już widzimy następstwa naszego postąpienia w garnięciu się w Litwie i w Rusi do sprawy oswobodzenia całej Polski i takich żywiołów, które dotąd od Polski odstepo-

wały. — Nie centralizacją, nie przemocą nie policją i fanfaronowaniem przewagi utrzymuje się prowincje i ludy w jedności i w związku, ale zastosowaniem zasady poszanowania woli i indywidualności narodowych, którego ojcowie nasi dali świetny przykład w Unji Lubelskiej i w Paktach Hadziackich. — Polska, Litwa i Ruś będzie więc jednem wolnem państwem dla tego właśnie, że unikamy błędu, który przez nieposzanowanie praw Rusinów zabezpieczonych im w Hadziacu, poruszył ich przeciwko Polsce, i dla tego, że chcemy w duchu polskiej historii związku, jedności, a nie przewagi niewolniczej nad bratnimi ludami.

Oparłszy sprawę naszą na gruncie rzeczywiście polskiej zasady, jesteśmy duchowi i potrzebie narodowej wierni i w innych kierunkach. Powołujemy nie jedną klasę do życia politycznego i wolności, ale i lud wiejski i miejski; chcemy, ażeby chłop i mieszczanin miał téż same prawa co i szlachcic; — chcemy jednem słowem, ażeby był jeden braterski naród, nie podzielony na klasy, ale jednakowo wolny. Chcemy dalej z innymi własności dla chłopów przez spłacenie dziedzicom czynszu z funduszów całego państwa; chcemy tolerancji zupełnej — i będziemy to wszystko mieli dla Polski, Litwy i Rusi w jedno złączonój, dla tego, że żądania i cele programu naszego wszystkich bez różnicy stanu, języka i wiary zaspakajają. — Lecz, ażeby wielką i świętą sprawę niepodległości Polski doprowadzić do zwycięztwa, niedość oprzeć ją na zasadzie sprawiedliwej, z ducha i historii narodu wysnutój, niedość dać jój chorągiew, która ją robi środkowym punktem nadziei narodów pognębionych, — potrzeba jeszcze umieć ją przyprowadzić do zwycięztwa; a ten tylko Komitet potrafi tego dokazać, którego władza będzie rzeczywistością, siłą i powagą, jakie daje uznanie posłuszeństwa i pilne spełnianie rozkazów. — Do tego więc posłuszeństwa na nowo wzywamy, do jedności w niem zachęcamy, a pilnując żeby żadne rozdwojenie dla jakichkolwiek powodów miejsca nie miało, tém bardziej przypominamy potrzebę jedności, że wobec zamierzonej przez rząd proskrypcji, zwanój poborem — tylko dobre spojenie się i trzymanie się w jedności i w posłuszeństwie, da Komitetowi Centralnemu Narodowemu możność zarządzenia skutecznego oporu przeciwko poborowi (*Ruch* numer 10).

Komitet, który się w Poznańskim utworzył celem odpowiedniego urządzenia obchodu przypadającej w ciągu tego roku wielkiej tysiącletniej rocznicy pierwszego pobylku chrześcijaństwa nad Gopłem i Piastów, zamieścił w *Dzienniku Poznańskim* z 29 listopada r. z. odezwę następującą, której ogłoszenie dla braku miejsca dotąd odwekaliśmy :

TYSIĄCLETNIA ROCZNICA.

Pomysł obchodzenia już w roku 1860 tysiącletniej rocznicy zaprowadzenia chrześcijaństwa nad Gopłem i równoczesnego wyniesienia na tron dynastji Piastów, nie przyszedł głównie z tego powodu do skutku że dla krótkości czasu nie mógł dostacznie dojrzeć.

W następnych latach poruszono ten przedmiot po pismach publicznych, a to z tém gorętszym zajęciem, że i w sąsiedniej Morawie i Czechach gotowano się na podobny religijny jubileusz.

Posłowie polscy W. Ks. Poznańskiego na sejmie w Berlinie, do których się w téj mierze odniesiono, polecili jednemu z pośród siebie pieczę nad tą sprawą i z téj to inicjatywy złożył się podpisany komi tet, kuurządzeniu obchodu téj tysiącletniej rocznicy nad Gopłem.

Mając na uwadze, że tak rok wyniesienia domu Piastowego na tron (r. 860), jak i apostołowania chrześcijańskiego w tych stronach Słowiańszczyzny (już od r. 855), nie da się z historyczną ścisłością oznaczyć, ale że kilka lat przedź czy później w wielkim perjodzie dziesięciowiekowym nie może stanowić różnicy; mając dalej na uwadze, że kiedy apostołowie słowiańscy, ŚŚ. Cyryl i Methody, zakładali pierwszy kościół na Welehradzie, niezawodnie albo oni sami, albo ich uczniowie Wiznog i Oslaw, przybyli także w okolice Gopla opowiadać słowo Boże, i jak tradycja niesie, zawitali do chaty kmiećej Piasta, błogosławiąc i przepowiadając przyszłą świetność temu domowi; komitet z tych względów osądził za rzecz stosowną w roku przyszłym 1863, obchodzić wraz z Czechami i Morawcami tysiącletnią rocznicę zaprowadzenia chrześcijaństwa nad Gopłem i połączyć z nią takąż rocznicę wyniesienia rodziny Piastów na tron.

Komitet przejęty całą ważnością takiej uroczystości której się naród w tysiąc lat dopiero doczeka, miał sobie za obowiązek zawiadomić o zawiązaniu i celu swoim, naczelną

władzę rządową Wielkiego Księstwa Poznańskiego, po której sprawiedliwości spodziewa się, iż przy zapewnieniu utrzymania porządku i spokojności, przeszkód temu obchodowi stawiać nie będzie, tudzież wyjednać sobie poparcie naczelnéj władzy duchownéj archidiecezjalnéj, by mu nadać stosowne kościelne i religijne namaszczenie. Z natury rzeczy najprzewielebniejszemu arcybiskupowi, księdzu Leonowi Przyłuskiemu, zostawioném być musi niezależne od nikogo przewodnictwo w urzędzeniu i odprawieniu całego jubileuszowego nabożeństwa.

Pierwsza niedziela po Narodzeniu Najświętszój Marji Panny, przypadająca w miesiącu wrześniu roku przyszłego, naznacza się na obchód tysiącletniej rocznicy; w tym bowiem dniu przypada odpust w Kruszwicy nad Gopłem i odbyć się ma zarazem poświęcenie starodawnego tamże kościoła, odbudowanego z najwyższego polecenia ś. p. króla Fryderyka Wilhelma IV., pieczołowitego o zachowanie zabytków starożytności monarchy.

Komitet skłonił się do myśli przez pisma publiczne popieranéj, aby nad Gopłem, w tém miejscu, gdzie prawdopodobnie mieszkańcy Kruszwicy przeprawiali się przez jezioro, usypać mogiłę Piasta, na podobieństwo mogił Krakusa, Wandy i Kościuszki pod Krakowem. W dzień obchodu zaczęnie się sypanie mogiły, której wykończenie może tylko być owocem kilkoletniej pracy. Ma to być pomnik Piastowy, po dziesięciu wiekach, przez tegoczesne pokolenie, pokoleniom następny ku czci i pamięci przekazany.

Na pamiątkę zaś zaprowadzonego przed tysiącem lat w tych stronach chrześcijaństwa, ma być z dobrowolnych ofiar odbudowany, starożytny, przed 28 laty pożarem spustoszony, kościół Panny Marji w Inowrocławiu, z kaplicą świętych apostołów słowiańskich.

Wszakże obok tych dwóch głównych pomników, mogą i powinny być zaprowadzone i inne pożyteczne pamiątki, jak proponowane już album pisarzy i artystów polskich, zawiązanie towarzystwa św. Wojciecha ku podniesieniu oświaty między włościanami i t. p.

Rocznica tysiącletnia, od czasu, jak chrześcijaństwo pojawiło się nad Gopłem, zaprowadzone w 130 lat później przez Mieczysława I po wszystkich krajach ówczesnej Polski i pod

Baltyk do ziem Pruskich, a przez Bolesława III do ziemi Pomorskiej, tudzież rocznica równoczesnego wyniesienia na tron dynastji Piastów, która po mieczu dopiero z Kazimierzem Wielkim na tronie polskim wymarła, uszczęśliwiając Polskę przez pięć blisko wieków; rocznica taka jest uroczystością nie samą okolicy kruszwickiej, nie samą dawną Wielkopolską, ale wszystkich ziem niegdyś Piastowego państwa, i nie ma wątpliwości, że znajdzie odezwy w sercu każdego Polaka i po wszystkich kościołach polskich z równą czcią i pobożnością obchodzoną będzie.

Naród nie doczekał się tej późnej rocznicy w dawną świętość swoją, ale jej się doczekał w całej jeszcze sile narodowego i religijnego życia. Toć on i tę nadchodzącą wielką uroczystość podejmie z uczuciem wspólnego braterstwa, z miłością ogarniającą wszystko i wszystkich, z postanowieniem naprawienia u siebie, co było złego, a uszlachetnienia co było dobrego.

Rzeczą będzie inteligencji narodu, a przedewszystkiém redakcji i pisarzy naszych, podniesienia wszędzie gdzie polskie serca biją, znaczenia i donośności tysiącletniego żywota narodowego, i upamiętnienia tej rocznicy w najwielostronniejszy, do czasu i miejsca zastosowany sposób.

Podpisany komitet odzywa się nietylko do tej pomocy moralnej, ale i do pomocy materialnej współrodaków. Potrzeba odpowiedniego funduszu, aby ten religijny i narodowy jubileusz, godnemi pamiątkami uświetnić i potomności przekazać. Komitet liczy na to, że świętość i wielkość sprawy podniesie umysły i serca nasze do takiej hojności ofiar, aby świetność pomników odpowiadała wzniosłej pamiątce.

Dobrowolne ofiary na ten cel przeznaczone, wnoszone być mogą na ręce przewodniczącego w Komitecie, Adolfa Łączyńskiego, w Kościelcu pod Inowrocławiem. Od czasu do czasu komitet ogłaszać będzie w *Dzienniku Poznańskim*, pod napisem: « Na obchód tysiącletniej rocznicy, » listę składających i ilość wniesionych składek.

W Kościelcu na Kujawach, 3 listopada 1862.

Komitet do urządzenia obchodu tysiącletniej rocznicy:

ŁĄCZYŃSKI J. MORAWSKI. DR. LIBELT. KSIĄDZ BŁASZKIEWICZ.
KSIĄDZ PANKAU. KSIĄDZ JANISZEWSKI. WOJCIECH HABER.

Komitet Emigracji Polskiej, kończąc swe czynności w dniu 5 lutego 1863 roku, powołał członków Zjednoczenia do nowych wyborów, następującym okólnikiem :

Rodacy !

Półroczny przeciąg czasu, który istnieniu waszego Komitetu zakresłony został, zbliża się do końca. Istotnie w dniu 5 sierpnia r. b. rozpoczęliśmy nasze czynności, w dniu przeto 5 lutego roku przyszłego winniśmy ustąpić miejsca nowemu składowi naczelnej instytucji emigracyjnej. I dla tego to powołujemy Was do nowych wyborów. Komitet, który z takowych wyniknie, potrzebować będzie dłuższego czasu istnienia, tak dla rozwinięcia czynności emigracyjnych, jako też dla zawiązania obszerniejszych stosunków z krajem i ich utrwalenia. Z tych powodów naznaczamy mu dwuletni czas istnienia, a ilość mających go składać członków do siedmiu ograniczamy.

Aby Emigracja miała czas do namysłu i porozumienia się w przedmiocie wyborów swej reprezentacji, pospieszamy z ogłoszeniem niniejszego okólnika. Listę także Zjednoczonej Emigracji przed nadchodzącym nowym rokiem starać się będziemy ogłosić. Termin zaś wyborów tak oznaczamy, aby 5 lutego wypadek ich mógł być do wiadomości ogółu podany, a w razie potrzeby, zarządzone dodatkowe wotowanie.

Zechcecie się przeto, Rodacy, do następujących zastosować przepisów :

1. Wota na nowy Komitet przed dniem 15 stycznia 1863 roku nadesłane być mają, ile można w porządku ułożonych wykazach, na ręce sekretarza.

2. Głosowanie będzie jawnem, a więc nadsyłane wota przez głosujących podpisane być winny.

3. Każde wotum wskazywać powinien siedmiu kandydatów, z wyrażeniem nie tylko ich nazwisk, ale i imion chrzestnych. Wotum niedopełniające tego przepisu, za nieważne uważanem będzie.

4. Za członków przyszłego Komitetu uznani zostaną ci kandydaci, którzy otrzymają absolutną większość głosów.

5. Jak tylko pięciu kandydatów absolutną większość otrzyma i powierzone sobie obowiązki przyjmie, to w dniu

5 lutego zawiążą się oni w nowy Komitet, któremu obecnie istniejący złoży swoje czynności. W takim razie, zarządzenie dodatkowych wyborów na dwóch brakujących członków i uzupełnienie tym sposobem składu Komitetu, należeć już będzie do nowego kompletu z pięciu.

6. Gdyby jednak pięciu kandydatów nie otrzymało przy pierwszym głosowaniu wymaganej większości, lub nie przyjęło obowiązków, w takim razie dzisiejszy Komitet w dniu oznaczonym (5 lutego) w miarę potrzeby nowe lub dodatkowe zarządzi wybory.

RODACY !

Nie potrzebujemy wam obszernie wystawiać ważności, jaką przywiązujemy do tych wyborów. Każdy ją z was czuje, bo każdy z was — wobec rozbudzonego życia narodu — pragnąłby zostawać z nim w stosunkach choć pośrednio, przez ludzi, w których ma zaufanie. Wybierajcież więc ludzi zaufanie wasze posiadających, ludzi, którzyby waszych myśli i waszych uczuć godnymi byli przedstawicielami. Zasady demokratyczne : równość, wolność i braterstwo, te same, któreśmy się w naszej niedoli po obcych ziemiach — jako ideałem dla społeczeństwa naszego — przez tyle lat pocieszali i pokrzepiali, przemagają już, wiecie o tem, w Kraju, i Kraj pod ich hasłem sposobi się do stanowczej z ciemniedzami walki. Pamiętając na to, nie pomylicie się w wyborach, i postawicie na waszem czele Komitet, który będzie i godną waszą reprezentacją, i zarazem jedynie zdolnym doradcą i pomocnikiem patriotów krajowych. Inaczej wprowadzając do Komitetu osoby różnych zasad politycznych, nie dopięlibyście zamierzonego celu ; bo wszelkiego zbiorowego działania koniecznym warunkiem jest jedność myśli i zgoda na zasady. Bez jedności myśli i zgody na zasady w Komitecie, Zjednoczenie Emigracji byłoby tylko złudzeniem.

Paryż, 12 grudnia 1862.

Pozdrowienie braterskie,

Komitet Emigracji Polskiej : CHRYSTOWSKI Adolf, ELZANOWSKI Seweryn, JANOWSKI J. Nepomucen, KORABIEWICZ Edmund, doktor med., LEDOCHOWSKI Jan, poseł jędrzejowski, MAZURKIEWICZ Leon, WYSOCKI Józef, generał.

Rada Szkoły Polskiej na Batignolles ogłosiła drukiem sprawozdanie na rok szkolny kończący się z dniem pierwszym października 1862. Tyle razy zwracaliśmy uwagę w piśmie naszym na ważność i wzrost stopniowy tej narodowo-emigracyjnej instytucji, że nateraz poprzestać możemy na powtórzeniu głównych dat z rzeczonego sprawozdania.

Szkoła Batignolles liczyła 304 uczniów, z których 236 internów, a 68 eksternów. Ci pobierali naukę od 13 profesorów przychodniich, a 17 mieszkających w szkole. Zarząd i administracja składała się z 9, a służba z 20 osób; 5 rzemieślników stale przywiązanych było do Szkoły.

W ciągu upłynionego roku 6 uczniów zdało egzamin *bacheliers ès sciences*, 4 *bacheliers ès lettres*; 6 weszło do szkoły polskiej przygotowawczej (Montparnasse), 2 do szkoły wojskowej, 1 do szkoły weterynarii, 14 do innych zakładów naukowych, 3 znalazło umieszczenie u architektów i w innych biurach, 4 w drogach żelaznych i inżynierji, 7 w handlu, 14 w rozmaitych gałęziach ródodziel i przemysłu.

Wydatki Szkoły wynosiły 206,698 fr.; a dług szkolny, który przed rokiem, to jest 1^{go} października 1861 wynosił 41,541 fr., niższym został na 24,543. Jakkolwiek więc finanse Szkoły Polskiej nieco się poprawiły, summa ta jednak przemawiać powinna do wspaniałomyślności rodaków i zachęcać ich do materialnego popierania instytucji, o użyteczności której cała Emigracja najchlubniejsze dać musi świadectwo.

Czwarta lista Stowarzyszenia Podatkowego Emigracji Polskiej.

Schrok Karol fr. 80. Mackiewicz Julian fr. 6. Potkański Gustaw fr. 6. Dzwonkowski Władysław fr. 25. Zaleski Michał fr. 24. Rogoziński Michał fr. 24. Wysocki Wojciech fr. 25. Zielski Leon fr. 12. Dombrowski Wincenty fr. 24. Hoffmann Stanisław fr. 20. Jabłoński Jan fr. 3. Kisielewski fr. 20. Piljanowski Andrzej Erazm fr. 2. Szelechoowski Jan fr. 15. Piskiewicz Teodor fr. 10. Turczyński Tomasz fr. 6. Popławski Mateusz fr. 6. Rynkowski Józef fr. 1. Dukaciński Maciej fr. 2. Szczygielski fr. 12. Michalewski Albert fr. 15. Ostrowski J. B. (4) fr. 12. Guderlój Jan (3) fr. 12. Szubert fr. 20. Sienicki Józef fr. 10. Krackiewicz Leopold fr. 20. Kulczewski fr. 12. Rymkiewicz Ignacy fr. 20. Suski Feliks fr. 24. Duchanowski Andrzej fr. 3. Ząbkowski Walenty fr. 12. Rohr Jan fr. 6. Kościakiewicz Antoni fr. 25.

Zakrzewski Aleksander fr. 10. Żochowski Stanisław fr. 30. Niemojowski Aleksander fr. 5. Jakobski Hirs z fr. 5. Margiewicz Joachim fr. 5. Pichelski Jan fr. 5. Ordyskiński Franciszek fr. 12. Miaskowski Ludwik fr. 5. Dembowski Bonawentura fr. 2. Gorski Jakób fr. 3. Brzykowski Józef fr. 3. Szretter Antoni fr. 6. Ordega Władysław fr. 12. Korsak Wincenty fr. 20. Bobrowski Ludwik fr. 24. *Sochaczewski Piotr* fr. 12. Orlowski Romuald fr. 6. Bohuszewicz Aleksander fr. 6. Underowicz Adam fr. 12. Czajkowski Franciszek fr. 6. Cerański Jakób fr. 6. Jatowski Adam fr. 6. Ignacy Z. fr. 30. Łaniewska Tekla fr. 50. Ciświcki Feliks fr. 3. Podbereski Fortunat fr. 3. Libiszewski (1) fr. 6. Nowak Faustyn fr. 2. Iwiński Tomasz fr. 2. Czuwasza Tomasz fr. 10. Przewoski Karol fr. 10. Bekierski Jan fr. 1. Tomaszewski Wincenty fr. 1. Punicki Józef fr. 1. Osuchowski Karol fr. 1. Chrapański August fr. 2. Kiewlicz Stefan fr. 2. Wolski Walery fr. 1. Kozierowski Tomasz fr. 1. Owsiński Antoni fr. 10. Chodorowicz Michał fr. 2. Swiechowski Kajetan fr. 10. A. S. G. fr. 100. Ł. Z. K. fr. 100. E. M. G. fr. 100. Bronicki Franciszek fr. 20. Jesiolaytys Grzegorz fr. 10. Smarzewski Michał fr. 10. Grynfeldt Kazimierz fr. 20. Grynfeldt syn fr. 5. Jeliński Michał fr. 1. Kotorasiński Antoni fr. 5. Kowalewski fr. 3. Woynarski Jan fr. 2. Wiśniewski Józef fr. 6. Wiśniewski Artur fr. 6. Wiśniewski Kamil fr. 6. Strzemieczny Stanisław fr. 2. Gostyński Mateusz (1) fr. 6. Konarski Tomasz jen. fr. 12. Woynicz Władysław fr. 6. Rowicki fr. 40. Sokolowski Franciszek fr. 12. Mieszkowski Jan fr. 12. *Raczyński Józef* fr. 3. Jankus Mateusz fr. 12. Fijałkowski Jakób fr. 3. Borowski Kazimierz fr. 6. Majewski Waleryan fr. 6. Grzybowski Antoni fr. 6. Jasiński Karol fr. 3. Jankowski Stanisław fr. 6. Gorski Antoni fr. 6. Hawryłowicz Jan fr. 6. Mazowiecki Leonard fr. 6. Niezabitowski Aleksander fr. 24. Siciński Marcelli fr. 12. Szweyger Józef fr. 5. Mogilnicki Michał fr. 2. Kozaryn Paweł fr. 2. Dymkowski Antoni fr. 1. Michalowski Henryk fr. 1. Tomkiewicz Jakób fr. 5. Krauziński Emil fr. 5. *Rożycki Józef* fr. 40. Janakowski Antoni fr. 20. Borkowski Jan fr. 20. Ostrowski Karol (30) fr. 60. Ks. Kwiatkowski fr. 12. Karski (5) fr. 20. Steciewicz fr. 1. Wołoka Kazimierz fr. 1. Kwinta Mieczysław fr. 1. Maciejowski Kazimierz fr. 20. Jedliński Hieronim fr. 20. Dering Leopold fr. 6. *Dobrzański August* fr. 6. Lissowski Józef fr. 3. E. K. fr. 25. Dworzaczek A. M. fr. 12. Rybliński Maciej jen. fr. 30. Masłowski Dionizy fr. 12. Sliwiński Ludwik fr. 12. Krawczyński Franciszek fr. 6. Gąsiorowski B. fr. 100. Teyszerski Julian fr. 12. Stepkowski Marcin fr. 3. Gresser Antoni fr. 20. Zarembo Stanisław fr. 6. Janowski Franciszek fr. 6. Wyslouch Wiktor fr. 12. Skowroński Wincenty fr. 40. Głębocki M. fr. 8. Tarnowski A. fr. 5. Dzierżbicki Roman fr. 24. Saminn Aloizy fr. 24. Dunin fr. 6.

Ogół listy czwartej. 2,344
Ogół list poprzednich. 21,708

Razem. 24,052

Z artykułów które w dziennikarstwie francuzkeim pojawiły się o sprawie polskiej w ciągu miesiąca grudnia 1862 roku, na szczególną uwagę zasługuje umieszczony przez P. S. de

Sacy w *Journal des Débats* z 16 t. m. Autor od czasów cesarstwa przestał w pismach periodycznych zajmować się polityką, a pióro swoje zwrócił ku naukowym przedmiotom. Adres szlachty podolskiej, i uwięzienie marszałków tejże gubernji, skłoniło go do odstąpienia od długoletniego zwyczaju. Nie możemy pominąć milczeniem tego dowodu szczerzej dla nas sympatji. P. S. de Sacy przemawia za sprawą naszą ze stanowiska traktatu wiedeńskiego, lecz jego warunkom tak obszerne nadaje znaczenie, iż według nich prowincje dawną Polskę składające, nie stanowią integralnych części państw, do których rozbiorem przyłączone zostały. Na tym opierając się argumente, a współcześnie namieniając, że petycja szlachty podolskiej, w niczem nie myślała naruszać całości carstwa rosyjskiego, nastaje P. Sacy na bezprawne oddanie pod sąd marszałków. « Nie twierdzimy, mówi on, aby Europa powinna była interweniować w tę sprawę. Lecz trudno zataić, że się nią interesować musi, i że może gabinet petersburski rozsądniejby sobie postąpił nie podnosząc tak drażliwej kwestji. »

Z broszur wzmiankować tylko będziemy, apologją cesarskiego rządu, W. K. Konstantego i margrabiego Wielopolskiego, wydaną pod napisem : « *Le Grand Duc Constantin, le marquis Wielopolski et les Polonais.* » Przypisywana ona jest pani Keler, żonie dyrektora spraw wewnętrznych Królestwa Kongresowego, a jest napisaną bez żadnego talentu i nie zawiera, coby na szczególną zasługiwało wzmiankę.

Rzecz się ma przeciwnie z artykułem pana Mazade, umieszczonym w *Revue des deux mondes* z 15 grudnia pod napisem : « *Deux Polonais de notre temps. Le comte André Zamojski et le marquis Wielopolski.* » Niespożytemu w wiekowych mękach duchowi Polski serdeczna oddana pochwała, a Wielopolski i Zamojski, w głównych przynajmniej zarysach należycie ocenieni. List pierwszego do Metternicha i do najwyższego stopnia posunięta duma, stanowią główne podstawy sądu o nim. Oddana panu Andrzejowi Zamojskiemu sprawiedliwość, większej by nabrała wartości, a nawet większe na czytelnikach czyniłaby wrażenie, gdyby nie przechodziła czasem w nieprawdopodobną przesadę. Jeden przykład wystarczy : pan Zamojski w roku 1831 przez rząd Polski powstającej, wysłany był z misją dyplomatyczną do

Wiednia; tę rzecz nader prostą pan Mazade ubiera w romantyczne barwy i opowiada o przeprawie w bród przez Wisłę, gdy każdemu wiadomo, jak łatwemi były stosunki między Królestwem a Galicją. Lecz co dziwniejsza, czytamy dalej, że w skutek starań wysłannika naszego, popartych przez księcia Metternicha, ambasador rosyjski wysłał do Dybicza zalecenie, powstrzymania się w nieprzyjacielskich krokach. Możeż kto uwierzyć podobnemu twierdzeniu?

Jak daleko dzienniki tutejsze nieświadomemi są stosunków naszych, dowodzi przyjęcie z ufnością i bez żadnego powątpiewającego komentarza depeszy telegraficznej z Petersburga, donoszącej iż 20 grudnia wyszedł ukaz carski, zwracający skonfiskowane majątki wychodźcom z roku 1831, lub późniejszym politycznym przestępcom, a nawet ich spadkobiercom, bez względu, czyby oni w kraju, czy na emigracji przemieszkowali. Dopiero tekst ukazu przekonał tutejszych publicystów o fałszywości telegramu, a niektóre dzienniki jak: *Journal des Débats*, *le Monde*, przypuszczając słusznie, iż wiadomości podobne od agentów rządu rosyjskiego pochodzić muszą, na złą wiarę tegoż rządu powstały.

W tem miejscu wspomnieć też musimy, iż od 1 grudnia 1862 roku, pan Emile de Girardin objął rzeczywisty ster a w jego zastępstwie pan Rouy redakcją dziennika *La Presse*. Znany przyjaciel sprawy naszej pan Elias Regnault, i kilku współpracowników, nie radzi z takiego koleżeństwa, opuścić dziennik, który obecnie zostaje pod wyłącznym wpływem wroga sprawy naszej. Pan Girardin zwolennik wolności, nie omieszczał parę razy już nam wyrzucać, że ją idei narodowości poświęcamy. Pan Władysław Mickiewicz w odpowiedzi panu Girardin wskazał w *Opinion Nationale*, jak dwie te idee ściśle z sobą są połączone.

— W nocy z 20 na 21 grudnia policja paryżka aresztowała trzech Polaków, Ćwierciakiewicza, Czapińskiego i Godlewskiego, za paszportami w Paryżu przebywających, według jednych — z powodu stosunków z Warszawskim Komitetem Centralnym, według zaś innych, dla związków z Mazzinim i Ledra-Rollin'em. Już poprzednio (w miesiącu październiku 1862 r.) świeżo na Emigrację przybyli: Normarkt i Janiszewski, uwięzionymi zostali z powodu porozumienia o

współdział w zamachu na życie Lüdersa, — a następnie wydalonymi z Francji.

ZAWIADOMIENIE.

Demokrata Polski, który przez pół roku przeszło nie wychodził, świeżo wyszły numer, obejmujący opis obchodu 29 listopada, kończy następującem zawiadomieniem :

« Z tym numerem kończymy wydawnictwo *Demokraty Polskiego*. W miejscu *Jego* od Nowego Roku wychodzić będzie trzy razy na miesiąc, pismo : GŁOS WOLNY.

Cena przedpłaty pozostaje ta sama, to jest: 3 szylingi czyli 3 franki 75 centymów na kwartał. Życzący sobie nowe pismo regularnie odbierać, zechcą wcześniej zgłosić się i nadesłać przedpłatę kwartalną, do Redakcji: A. Zabicki, 2, *Thanet Street Burton Crescent, London*, lub do Sekretarza Komitetu Emigracji Polskiej: S. Elzanowski, 17, *Rue des Beaux-Arts, Paris*. »

Zeszyt niniejszy sprzedaje się po fr. 2.

U Seweryna Elzanowskiego (wydawcy), Paryż, ulica des *Beaux-Arts*, 17.

Tudzież w księgarniach polskich :

Karola Królikowskiego, Paryż, ulica de *Seine*, 20, i

Stanisława Tchorzewskiego, Londyn, 1, *Macklesfield-street Gerard-street, Soho-Square*.



Paryż. — W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.

400-

082838/85

(Dnia 17 stycznia 1863 roku.)

TREŚĆ.

	str.
Wspomnienia z wojny węgierskiej, przez Zygmunta Miłkowskiego.	1
Korespondencje (ze Lwowa, z Rosji i z Księstw Zjednoczonych).	20
Sprawy krajowe i emigracyjne.	30

WSPOMNIENIA Z WOJNY WĘGERSKIEJ

W LATACH 1848 I 1849.

PRZEZ ZYGMUNTA MIŁKOWSKIEGO.

WSTĘP.

Zanim wziąłem się do pisania moich wspomnień, zastanowiłem się pierwój nad tém : czy będzie z nich jaka dla czytelnika korzyść? — Na pytanie to odpowiedziałem sobie następującym sposobem :

Pomiędzy wojną, którą Węgrzy rozpoczęli w 1848 roku przeciwko Austrii, i tą która nad nami, jako nieunikniona wisi konieczność, wielkie zachodzi podobieństwo. Węgierska wojna była — rzec można — zaimprovizowaną : — i nasza przyszła wojna, pomimo że ją przewidujemy, pomimo że do niej moralnie się przysposabiamy, pomimo że o nią głośno mówimy, i często pisujemy, będzie nosiła na sobie charakter improwizacji. Będzie nosiła ten charakter : bo moralnych przygotowań nie wspierają materialne, — bo o wojnie mówimy, ale nie dostatecznie na serjo, — w tajemnicy myśli i

pragnień naszych przypuszczając zawsze jakieś okoliczności, jakieś nieznanne i nieprzewidziane zdarzenia, które ją nam sprowadzić mają i gotowiuteńką do rąk dać. Zdaje się nam, jakobyśmy jedno tylko mieli przed sobą : wystąpić i popisać się — wprawić świat w zadziwienie dzielnością jedną, drugą szarżę i — spocząć na laurach.

Pomimo jednakże tego improwizacyjnego charakteru, siły żywotne Węgrów były tak wielkie, że z nich zorganizowała się duża i waleczna armja. Na siłach żywotnych i nam Polakom nie brak : więc i nam nie trudno będzie zorganizować dużą i waleczną armję. Z analogji sił wypływa analogja organizacji. Wojna węgierska jest dowodem, że kiedy siły są, to wydobyć z nich armji nie jest bynajmniej niemożliwością — dowodem, o którym każdy Polak powinien wiedzieć, i powinien go mieć zawsze przytomnym w umyśle.

Organizacja sił narodowych w wojennym celu, to jest, utworzenie armji, jest rzeczą techniczną, doskonale i powszechnie znaną. Każde państwo posiada armję stałą, gotową na każde zawołanie do boju, umundurowaną, uzbrojoną, zaopatrzoną w amunicję i żywność. Wiadomo jest, jaki procent ludzi i dochodów idzie na wojsko, jak się te procenta pobierają i jak użytkowują. Wiadomo jest także, że aby mieć wojsko, potrzeba je przygotowywać długo i zawczasu, z wielkim wysiłkiem skarbu, który jest warunkiem *sine qua non* posiadania armji. Ale nie wiadomo, jak się armje tworzą z niczego, bez pieniędzy i na prędce — jak one wyrastają, niby z ziemi, i idą do boju, i zwyciężają. Jest to tajemnica rewolucji — tajemnica, która pomimo że się często w naszych i w bliskich naszym czasom powtarzała, nie jest rozjaśnioną i rozjaśnioną być nie może. I to bardzo naturalne : nie można bowiem w prawidłowe formy ująć ofiarnego natchnienia i patriotycznego uczucia, które tworzą skarb publiczny, kuja i leją broń, fabrykują amunicję i masy spokojnych obywateli, rzemieślników, wyrobników, handlarzy, rolników, zwolują do szeregów i czarodziejskim niby sposobem przerabiają ich na żołnierzy. To tajemnica, ten cud, niepojęty dla rutynistów wojskowych, jest faktem, któremu zaprzeczyć nie sposób.

W moich wspomnieniach będę się starał, nie objaśnić, ale udowodnić ten cud, opisując go nie w samej jego istocie,



ale w rezultatach, które w najprostszym i najszcześliwszym swoim streszczeniu w następujący wyraziły się sposób : do wojny Austriacy stanęli w kilkakroć sto tysięcy dobrze uzbrojonego, doskonale wyrobionego i we wszystko zaopatrzonego żołnierza ; Węgry stanęli z gołemi pięściami ; wojując we wszystko się zaopatrzyli i pokonali Austrię. Niektórzy tłumaczą ten cud tćm, że w owym czasie Austrię zajęła była wojna z Włochami. To prawda ; ale i to niemniej prawda, że Węgry mieli na karku wojnę domową, z Racami na południu i z Włochami na wschodzie — wojnę wywołaną przez gabinet austriacki, w celu zbyt wyraźnym, ażebyśmy potrzebowali nad nim się zastanawiać.

I nam zagraża coś podobnego. Niedaremnie Austriacy i Moskale, pracowicie i zapobiegliwie minują nasz grunt społeczny. Przewidują oni, że możemy kiedyś zerwać się z orężem w dłoń i roztrącić regularne ich armje, — a przewidując to, podsycają i jatrzą właśnie nasze familijne, ażeby w danym razie móżdż je na wojnę domową przemienić. Współbracia nasi w kraju są biernemi narzędziami systemu, albo raczej systemów (mówiąc o Rosji i Austrii), i jako tacy nie mogą bezwzględnie być pociąganyimi do odpowiedzialności za wyniki owych systemów. Żle, że się dali użyć ; ale raz na tej drodze, winą ich jest winą miecza co rani, knuta co razi, — a cała odpowiedzialność za rany i razy spada na kierującą dłoń, na twórców systemu. Twórcy jednakże umieją od siebie i złe i winy odwracać : przed pierwszćm chroniąc się za szeregi, drugą obarczając własne narzędzia — tak że w chwili ogólnej rozplaty, cała kara spada nie na istotnych winowajców a na narzędzia. To stało się Węgom : to samo i nam grozi — z tą iedynie na naszą korzyść różnicą, że możemy uczyć się na cudzych przykładach.

Owóż cała wojna węgierska jest dla nas żywym dotykalmym przykładem z którego powinniśmy się uczyć. W moich wspomnieniach, będę się starał o ile możności podnosić tę przykładową stronę. Uprzedzam jednakże czytelników, aby po wspomnieniach moich nie spodziewali się historii wojny ani historii rewolucji. Będę pisał najwięcej o tćm, na co własnćmi patrzałem oczami, czego doświadczyłem i co mi się o uszy obilo — słowem — będę się starał przed wyobraźnią czytelnika postawić jak można najżywszy obraz rewolucyjnej

wojny. Upprzedzam również, że rola, jaką w téj wojnie osobą moją odegrałem, nie pozwala mi popatrzyć na nią — że tak się wyrażę — z góry. Byłem z początku szeregowym, następnie podoficerem, a przy końcu podrzędnym oficerem. Sfera więc mego udziału była bardzo ograniczoną — tak ograniczoną, że nie miałbym co czytelnikowi powiedzieć, gdybym w niej tylko zechciał się trzymać. Rozszerzę ją uwagami, jakie mi opowiadane fakta pod pióro nasuną.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Pod panowaniem moskiewskim. — W uniwersytecie. — Wallenrodyzm. — Praktyczna myśl. — Manifest Mikołaja. — Balamutna wieść. — Adres. — Pan Szczuka. — Różność zdań. — Woznesieńskie ułany. — Szlachcic. Przekroczenie granicy. — Fed'.

Kto z nas nie pamięta wiosny 1848 roku? — Piękna to była wiosna, pełna uroków i nadziei. Nie dziw, że wydała się ona piękną mnie, zaczynającemu podówczas dwudziesty czwarty rok życia : widziałem starców, którym radość rozjaśniła zmarszczone długim beznadziejnym smutkiem czoło. Wszyscy, na powtarzające się raz po raz wieści o walących się tronach i o intronizacji ludowej idei, nowem odżyliśmy życiem. Bo wiedzieliśmy o tem bardzo dobrze, a raczej, nie tyle wiedzieli co czuli, że w ludowej idei tkwi Polska — ta Polska, która długo a zawsze napróżno oglądała się na trony, wyglądając od nich dla siebie sprawiedliwości.

— Teraz już będzie Polska ! — rozległo się wołanie po całej polskiej ziemi, jak ona długa i szeroka.

Rok 1848 zastał mnie w Kijowie, przy uniwersytecie, gdzie sposobilem się do zdawania egzaminu na kandydata matematycznych nauk. Nie potrafiłbym opisać wrażenia, jakie on na mnie sprawił. Analityka i Wykreślna, Dyfferencjały i Integrały, Astronomja i Mechanika — wszystkie od razu wywietrzały mi z głowy, która natomiast napelniła się szumem rewolucyjnej burzy, mrużącej na dalekim horyzoncie. Nie wiedziałem, co z sobą począć.

W uniwersytecie, jeszcze przed wypadkami 1848 roku, założyliśmy byli tajemne polityczne stowarzyszenie, które — jak to dziś poznaję — miało fałszywy cel. Stowarzyszeni

podejmowali się być Wallenrodami. Była to jednakże perspektywa zbyt daleka i zbyt niepewna : trzeba bowiem było, ażebyśmy z działaniem na korzyść Polski wstrzymali się, aż poosiągamy wysokie w cesarstwie stanowiska, aż pozostaniemy ministrami, gubernatorami i jenerałami. Nie prędko to nastąpić mogło, — a tu już działanie rozpoczęło się bez nas i rozwijało się głośno, otwarcie, szybko, nie oglądając się ani czekając na nas. Dla zostania Wallenrodem, rzuciłem się był do Bibikowa, który wówczas był w całej świetności swojej potęgi, i podałem mu prośbę o przyjęcie mnie do jenerała gubernatorskiej kancelarji. Bibikow odmówił mi. Z tą odmową, upadła dla mnie nadzieja zostania ministrem lub gubernatorem. Zaciągnąłem się więc do saperów, w celu zrobienia sobie przyjemności, powiedzenia kiedyś Moskałom :

«Widzicie, — wicher pędzi chmury śniegów? —

Tam marzną waszych ostatki szeregów.

Słyszycie, — wyją głodnych psów gromady?

One się gryzą o szczątki biesiady.

Ja — to — sprawilem...» etc.

«Ja» szczególną jakąś harmonją napelniało moją duszę i grzmiało pełno, donośnie, przy wtórze zimowych wicherów, działowych wystrzałów, grzechotu ręcznej broni i szczęku szabel, towarzyszących zapadaniu się w piekło moskiewskiej potęgi. Z tem wszystkiem — cała ta przyjemność i harmonja, nie zasłoniły przedemną szeregu lat, które trzeba było w szeregach moskiewskich spędzić i — co gorzej — w ciągu których, trzeba było zaprzeć się polskości.

Wspominam o tem, żeby czytelnikowi dać wyobrażenie, jakim w owych czasach był kierunek umysłów. Ja i moi towarzysze kochaliśmy Polskę i byliśmy młodzi : jednakże nie zdawało się nam, abyśmy zdolni byli wstępnym bojem wydrzeć Polskę z moskiewskich szponów — tak panowanie Mikołaja przejęło nas dobrem o jego potędze wyobrażeniem. Zdawało się nam, że tę potęgę, tylko podstępem można z jej fundamentów wzruszyć i powalić : — i dla tego zabieraliśmy się do długiego, zmudnego i niebezpiecznego wallenrodowania. Było to podówczas chorobą ogólną, przekonaniem powszechnem, które tem łatwiej głów naszych się uczepiło, że przyszło za rekomendacją Mickiewicza. Jak nie wierzyć

temu, którego same nazwisko było jak najsurowiej zakazane?... Wydało się nam więc rzeczą arcyheroiczną, iść tajemniczą drogą, którą on przeprowadził jednego ze swoich poematowych bohaterów.

Z drugiej strony, na wyobrażenia nasze wpływały: pogadanki o sprawie Konarskiego, głuche wieści o wypadkach 1846 roku w Poznańskim i Galicji, i błakające się luzem tu i ówdzie pisma Towarzystwa Demokratycznego. Z tego wszystkiego, nie mogliśmy utworzyć sobie jasnego pojęcia o drodze, której nam się trzymać wypadało. Młodzi, czuliśmy, że na nas spoczywa cała waga przyszłości; ale — tylko — czuliśmy. Zrazu, przed wypadkami, uniwersytet wydawał się nam szerokiem polem działania; po wypadkach jednakże, spostrzegliśmy się, że i po za uniwersytetem jest świat, i że tamten jest ważniejszy od naszego, chociażbyśmy ten ostatni wzmonili kijowską fortecą, której zdobycie po głowach się nam roilo.

Wstąpiłem był do saperów, ale nie zaangażowałem się tak, abym się już wycofać nie mógł, i nie zrywałem z uniwersyteckimi stosunkami. Jak wyżej powiedziałem, droga wallenrodyczna, pomimo całej poetyczności, w jaką moje «JA» ubierała, wydała się mi za długą. Czekać na to, aby zająć miejsce Paszkiewicza, i wówczas dopiero wyznać się Polakiem? — było za nikołajowskich czasów i wygodnie i bezpiecznie; ale sumienie, wbrew poezji, powiadało mi, że korzystać z tego dla Polski jest więcej niż wątpliwą, i doraadzała dobijać się ojczyzny na innej, prostszej, choć niebezpiecznej drodze. Opuściłem więc saperów i Kijów, oznajmiałem kolegom, że ruszam rozglądać się po świecie.

Najbliższym dla mnie światem były: Ukraina, Podole i Wołyń. Udałem się pomiędzy szlachtę i wkrótce znalazłem, czego szukałem. Znalazłem, że ci co nie byli w uniwersytecie, praktyczniej od nas zapatrywali się na stan rzeczy, bo, niby w tęczę, w jeden wpatrywali się ogólny cel, a tym celem było — POWSTANIE.

Tak — nie myślę się — i nie myślę w błąd wprowadzać czytelnika; szlachta na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, w 1848 r., myślała o powstaniu... Myślała szczerze, i przekonany jestem, że byłaby się szczerze do szeregów pogarnęła, ale pod jednym warunkiem, gdyby kto zaczął. Inicjatywy bała się,

jak diabeł wody święconej. Gdyby jednakże kto ją wziął na siebie, znalazłby w niej żołnierzy ochoczych i walecznych, — może niesfornych i niewytrwałych, ale wady te, w rękę sprężystego wodza nie są do nie poprawienia, jak tego mamy przykład na oddziale dowodzonym w 1831 roku przez Karola Różyckiego.

Pomiędzy szlachtą, w maju 1848 roku, następującej treści sformułowała się była opinia :

«W Galicji organizuje się gwardja narodowa. Cóż to jest ta gwardja narodowa? — jużciż nie innego, tylko wojsko polskie. Pod nazwą gwardji narodowej zbroi się tam naród, a zbroi się w jakimś celu. W jakimże innym celu, jeżeli nie w tym, aby walczyć o niepodległość narodową?... z kimże walczyć, jeżeli nie z tym, kto jest głównym niewoli polskiej sprawcą?... A że głównym sprawcą jest Rosja, przeto zbrojenie się Galicji przeciwko niej jest skierowaniem. Niechże to zbrojenie się dojrzeje, niech się wszystko co zdolne oręż nośić zszereguje, — a wówczas...»

To *wówczas* znaczyło, że Galicjanie wkroczą do Królestwa, na Wołyń i na Podole. A ponieważ wkroczą, więc trzeba się przygotowywać na przyjęcie ich... z otwartemi ramionami i — oczywiście — czekać. Przygotowywać się inaczej, jak nie z otwartemi a gołemi ramionami, nie było można, bo Moskale gorliwie rozbrajali, zabierając u wszystkich, u szlachty i chłopów, nie tylko to, co właściwie orężem się nazywa, ale nawet duże noże. Byli jednakże tacy, co przechowali pałasze, pistolety i strzelby i przysposobili konie i siodła. Ja sam miałem to wszystko w najzupełniejszym porządku.

Manifest Mikołaja i ruchy wojsk rosyjskich utwierdzały przekonanie o wkroczeniu. Nie uczyłem się manifestu na pamięć, więc nie potrafię powtórzyć go co do słowa. Pamiętam jednakże treść onego, która była następująca : samodzierca zapowiadał światu, że nie chciał się mieszać do niczych wewnętrznych spraw, ale nie pozwoli rewolucji przekroczyć granic jego cesarstwa. Dokument ten, zredagowany stylem nadętym, wpółbiblijnym, źle maskował strach jaki przejmował redaktora czy redakcję. Na cóż bowiem było zapowiadać to, co bez zapowiadania, samo przez się rozumiało się : że Mikołaj nie życzy sobie rewolucji i gotów jest

bronić się jej zębami i pazurami?... Zapowiedź okazała tylko, że rewolucja możliwą jest w Rosji, o czém wielu wątpiło, i że możliwość tę uznaje sam Mikołaj. To dodało nam otuchy a ujęło nieco z przekonania o niepokonalności moskiewskich pułków, które forsownemi marszami ciągnęły ku granicom.

— Niech ciągną... — mówiliśmy sobie — Nasi się zbroją, a jak się uzbroją, to przecież nie dostoją im Moskałom...

Nie wiedzieliśmy o tém, że zbrojenie się Galicji odbywało się sposobem legalnym. Pod tym względem byliśmy w błędzie: sądziliśmy bowiem wedle siebie. My, gdybyśmy się mogli zbroić, to to oznaczałoby, że zaborcza legalność przestała już czuwać nad nami. Zdawało się nam przeto, że kiedy Galicja się zbroi, to Austria nie miesza się do tego; a jeżeli się Austria nie miesza, to w Galicji wszystko wre ochotą zmierzenia się z Moskałami. Wzdychaliśmy więc, aby ta chwila zmierzenia się jak najprędzej przyszała.

Do czego wzdychaliśmy, to nam się przywidywało. Mieliśmy, po wsiach nawet, dokładne wiadomości o tém, co zaszło za granicą: we Francji, w Niemczech i we Włoszech. Dzienniki zagraniczne, zwłaszcza francuzkie, dochodziły nas. W każdym powiecie można było znaleźć, w jednym przynajmniej egzemplarzu, *Journal des Débats*, z którym cenzura obchodziła się łagodniej jak przed 1848 rokiem. Były w nim zawsze mazaniny, ale już nie w takiej jak dawniej mnogości, — i można było dokładne mieć wyobrażenie o wszystkim co działo się podówczas w świecie. O jednej tylko rzeczy, wiedzieć było niepodobieństwem: o tém co działo się u nas. O powstaniu poznańskim *np.* nic a nic nie wiedzieliśmy — i dziś, pewny jestem, znajdzie się na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, wielu takich, którzy z całą by zapytali naiwnością:

— Jakto... nasi bili się w r. 1848 z Prusakami?...

O Galicji głucho tylko, z ust do ust, krążyły pomiędzy nami wieści. A nawet nie wiedzieliśmy, co się dzieje u nas, na Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Zdarzało się *np.*, że Podolanie słyszeli o powstaniu na Wołyniu; zdarzało się nawet, że w hajsyńskim *np.* powiecie mówiono, iż lipowiecki rozwinął już sztandary wojenne: tak Moskałom chodziło o to, ażebyśmy pozostawali w niepewności i niewiedomości, na łasce ich rozporządzeń i propozycji.

Powiadam „propozycyji”, pomimo że ten wyraz wydaje się niewłaściwym w zastosowaniu do ukazowych rządów Mikołaja. Rzeczywiście, nieboszczyk *niezapomniany* nie miał zwyczaju z propozycjami do swoich poddanych występować. On umiał tylko karać i znał tylko posłuch; swoich opinij i zasad nie oddawał nigdy pod dyskusją własnym poddanym. To było jego niezmiennie prawidło. Jednakże, w 1848 roku, odstąpił on raz od tego prawidła i to dla opinij publicznej, którą serdecznie nienawidził. Stało się to w następujący sposób. Przypadały w kilku gubernjach wybory urzędników szlacheckich, a między innemi i w kijowskiej, w której powinny były odbyć się w poprzednim roku, lecz z powodu cholery odłożone zostały na ów rewolucyjny 1848 rok. Gdzie tylko wybory się odbyły, tam szlachta, niby *proprio motu*, stosowała adres do tronu i w adresach tych wyrażała dla cesarza wdzięczność, przywiązanie, zapewnienie wiernopoddania, obrzydzenie do rewolucyj, do czego łączyła pokorną prośbę, aby J. C. Mość opiekował się Rosją, jak zawsze tak nadal. Adresa te, pochodzące, zdaje mi się, z sarałowskiej, tulskiej i kurlandzkiej czy finlandzkiej gubernij, były drukowane po gazetach i szeroko rozpowszechnione, w celu wywołania naśladownictwa. Nie ograniczono się jednakże na samém tylko opublikowaniu tych dobrych przykładów. Kwestja adresowa była gorliwie przez agentów rządowych agitowaną po gubernjach, zwłaszcza w kijowskiej, o którą, jako o polską, najbardziej Mikołajowi chodziło. Od szlachcica do szlachcica jeździły figury rządowe, między innemi hr. Strużyński, adjutant Bibikowa, i namawiały. Nie mam potrzeby mówić, że tego rodzaju namowa równała się rozkazowi. Szlachta znalazła się wobec smutnej alternatywy: albo podać adres i skompromitować się, albo nie podać adresu i skompromitować się. — W pierwszym razie, wobec opinij publicznej świata i potomności, w drugim wobec rządu. Kompromitacja pierwsza była ważniejsza, ale za to druga dotkliwsza, bo z opinij publicznej i z potomności można było w najgorszym razie żartować, a żart z Mikołaja prowadził prostą drogą na polowanie na sobole. Wyjście z tej alternatywy z honorem było arcytrudnem. Jedyne ratunek zależał na tém, aby nikt na sali wyborowej nie wystąpił z wnioskiem do adresu. W tym względzie szlachta zbierała się zrazu

po domach własnych a potem w Kijowie, naradzała się i jeden drugiemu dawał słowo honoru, że wniosku nie zrobi. Najwątpliwi byli pozyskani. Sam marszałek gubernski, hr. Henryk Tyszkiewicz, nie dający wielkich pod patrijotycznym względem rękojmi, przyrzekł, że stojąc nad grobem nie ma ochoty hydzić się na schyłku dni swoich. Pozostawało jednakże kilku, tak wyraźnie rządowi sprzyjających, z którymi o tém mówić nawet nie było można. O tych kilku była szlachta w strachu. Co zrobić, jeżeli który z nich wyrwie się z wnioskiem? Wystąpić przeciwko wnioskowi było niepodobieństwem. Nie pozostawało więc nic w takim razie innego, jak milczeniem wyrazić aprobację, i — podać adres i — utwierdzić opinią publiczną Europy w przekonaniu, że Polacy zadowolnieni są z rządów Mikołaja.

Strach pomiędzy szlachtą był wielki w dniu zgromadzenia na sali wyborczej. Ten strach jeszcze się zwiększył, kiedy jeden z tych kilku (nazwiska nie znam) zabrał głos i zrobił wniosek o adres. W sali zapanowało takie milczenie, że słychać było brzęk przelatującej muchy. Rzekłbyś, że to nie ludzie żywi na ławach zasiedli, ale artysta jakiś rozsadził na pokaz dla ciekawej publiczności woskowe figury. Cicho i nieruchomie siedziała szlachta, w pogotowiu do podpisania nie tylko adresu, ale najsurowszego na samą siebie wyroku — bo i adres był nie czém inném, jeno wyrokiem, wskazującym szlachtę kijowskiej gubernji na infamję. I byłaby ten wyrok podpisała, gdyby Opatrzność nie zesłała jój ratunku w osobie p. Szczuki, adwokata.

Środ grobowej ciszy powstał p. Szczuka i dowiódł zdumionym słuchaczom, że zaproponowany adres byłby obrazą majestatu cesarskiego : bo wyrażenie wdzięczności, przywiązania i wierności naprowadzałoby na przypuszczenie, jakoby cesarz o wdzięczności, przywiązaniu i wierności swoich poddanych wątpił, — prosba zaś o opiekę, oznaczałaby jakoby poddani nie ufali dotychczasowej cesarskiej opiece. Rozumie się, że zgromadzenie jednogłośnie przyłączyło się do tłumaczenia pana Szczuki i nie wystosowało propagowanego przez Bibikowskie kreatury adresu. Bibikow wściekał się ze złości.

Odrzucenie to adresu, było jedynym politycznym faktem, na który w 1848 roku zdobyły się Kraje Zabrane. Pozostaje wiedzieć azali fakt ten odbył się co do słowa w taki sposób,

w jaki go opisałem, Nie byłem na sali wyborczej. — nie byłem nawet podczas wyborów w Kijowie. Powtarzam, com słyszał, [o czém sobie szlachcice, jak o bohaterskim czynie, opowiadali. To tylko pewna, że adresu nie podali; co się zaś tyczy pogadanki, jaka z tego powodu krążyła, to o niej można powiedzieć: *« si non è vero è bene trovato »* — zawsze bowiem, może ona służyć jako miara nastroju umysłów większych posiadaczy, tych co dziś noszą przewisko moszrodziejów, upatrujących heroizm w adwokackim wykręcie.

Tak — niestety! — pojmovanym był, w moszrodziejskiej sferze, patriotyczny heroizm w 1848 roku: — bodaj czy nie tak pojmovanym on jest i dziś jeszcze?.. Znałem jednakże szlachciców, gotowych na wszelkie poświęcenia; znałem i takich, którzy gotowi byli od poświęcenia się wykupić — dać, choćby pół majątku i zbyć się od razu kłopotu. Ta ostatnia gotowość pochodziła ztąd, że rozeszła się była wieść, iż gwardja narodowa w Galicji potrzebuje pieniędzy na broń. Ci więc co tę wieść z pierwszej posiadali ręki, jeździli od domu do domu i żądali deklaracji, kto do jakiego datku chce i może się zobowiązać. Widziałem część tych deklaracyj: summa téj części wynosiła, przeszło pół miliona rubli srebrnych. Czy byłaby się ta summa pokryła? — to inne pytanie; samo jednakże zadeklarowanie oznacza, że chęć jest, — tylko nie ma pojęcia rzeczy. Naprzykład: jeden z takich, co zadeklarował się cały swój majątek i siebie ofiarować, tak się raz, siedząc na ganku domu swego i pokazując palcem na przechodzącego przez podwórze chłopą, do mnie odezwał:

— Ach!.. gdybyż to już prędzej doczekać się Polski!.. Żywcem pasy z tych hunewotów będę darł!..

Odmęt w pojęciach był nie do opisania. Nie skończyłbym, gdybym przytaczać chciał różne wyobrażenia i pojedyncze zdania, które mi się z owych czasów przypominają. To jednakże doskonale pamiętam, że bardzo ogólném było przekonanie o potrzebie uwłaszczenia i uwolnienia chłopów, a jeszcze ogólniejszą gotowość wsiąść na koń. Pierwsze nie było bezwarunkowém.

— Ot... — powiadał mi jeden — prawdę powiedziawszy, bez pańszczyzny będzie nam ciężko... Ha! cóż robić... trzeba będzie i tę ponieść ofiarę... byle nie przed żniwami...

Temu chodziło o żniwa, innemu o co innego, ale każdy

widział i uznawał konieczność, aczkolwiek smutną, taką wszakże której uniknąć było niepodobieństwem. Z tém zaś, żeby wsiąść na koń, oczekiwano na Galicję. Organizacji w kraju nie było żadnej.

W takiem nastawieniu rzeczy, człowiek niecierpliwy (a byłem jednym z takich) nie miał co robić w Krajach Zabronionych. Wyraz « powstanie » wyleczył mnie z walenrodzizmu; ponieważ jednakże powstanie czekało na Galicję, za najlepsze przeto uważałem, udać się do Galicji i osobą swoją o jednego człowieka powiększyć szeregi gwardji narodowej, owego w mojem mniemaniu wojska polskiego. Pojechałem więc do Kijowa, opowiedziałem się kolegom, powróciłem na Podole, pożegnałem rodziców, którym przez ostrożność nie wyjawiałem mego zamiaru i ruszyłem na Wołyń, kierując się ku galicyjskiej granicy.

Nie chcę rozrzewniać czytelnika opisem pożegnania z rodzicami, których kochałem całą potęgą synowskiej miłości, dotychczas kocham i kochać nie przestanę. Kto rozstawał się z rodzicami, ten przypomni sobie, jakiego sam doznał uczucia i obejdzie się bez mego opisu; kto nie rozstawał się, temu opis nie da wyobrażenia o łzach matki i ojca, o drżeniu ich głosu gdy wymawiali wyrazy pożegnania i błogosławieństwa.

Żegnając rodziców, miałem się za żołnierza polskiego, spieszącego do pułku, na wojnę. Dla mnie więc, w samém pożegnaniu, była na dnie radość: bo cóż dla Polaka może być radośniejszego, jak spieszyć na wojnę przeciwko ciemniaczom ojczyzny?.. Spieszyłem więc na Winnicę, Lityn i Stary Konstantynów, do Krzemieńca. W tej podróży nie zaszło nic szczególnego. Spodziewałem się być napastowanym o paszport. Nikt nigdzie ani zapytał, wyjąwszy w Krzemieńcu, gdzie musiałem meldować się policji, która się ze mną nad podziw grzecznie obeszła. Prawda, że dla policji miałem w kieszeni licealny atestat, mający znaczenie paszportu, a na języku kłamstwo, z któremi mogłem po całej Rosji wojażować. Na zapytanie: jakim jest cel mojej podróży? — odpowiedziałem bez zająknięcia, żem się zaciągnął do kawalerji i jadę do ułańskiego woznesieńskiego pułku, którego pułkowa kwatera w Radziwiłowie. Rzeczywiście w Radziwiłowie i wzdłuż granicy stały ułany, które przed tém konsystowały w Haj-

synie. Pomiędzy ich oficerami miałem znajomych i to takich, którzy, na wypadek wojny, przyrzekli mi solennie przejść do szeregów polskich i przeprowadzić, ci plutony, owi szwadrony a niektórzy podejmowali się cały pułk pozyskać dla sprawy narodowej. Jednego z nich tylko mogę wymienić. Był nim młody Rulikowski. Ten sam jeden dotrzymał słowa — a jaki z tego dotrzymania zrobił użytek, o tém czytelnikowi na swoim miejscu powiem.

Przez dwa blisko tygodni bawiłem w okolicach Radziwiłowa, udając że zaciągam się do ułanów. O tym moim niby zamiarze uwiadomiony był generał Zas, dowódca wozneńskiego pułku, i kazał mi oświadczyć swoje zadowolenie w następujących wyrazach : « generał bardzo kontent, iż będzie pod komendą swoją posiadał człowieka *obrazowanego* (człowieka oświeconego) » Powodem oświeconości mojej był licealny atestat, dający mi prawo do rangi dwunastej klasy w służbie cywilnej i do pierwszego stopnia oficerskiego w wojsku po wysłudze sześciu tylko miesięcy w stopniu, czyli raczej, w funkcji junkra. Był to przywilej nadany tym wszystkim co posiadali tak zwane uczone stopnie, to jest, co kończyli kursa nauk w uniwersytetach lub liceach. Wyglądało to niby na zachętę do nauk, a w istocie rzeczy było wabikiem do korupcji : wytykało bowiem uczącym się, jako główny cel życia, karierę w cesarskiej służbie ; a w cesarskiej moskiewskiej służbie — jak wiadomo — nie podobna było nie zdemoralizować się. Czynownictwo a złodziejstwo były synonimami. Przywilej więc ten miał tę własność, że wprowadzał młodego człowieka prędzej na drogę złodziejstwa, które w Rosji było główną podstawą tego co rozumiemy pod wyrazem *esprit du corps*. Służąc, bądź w wojsku, bądź w służbie cywilnej — nie zostać złodziejem, było prostém niepodobieństwem : tak silnym był ten duch korporacji, który w jedną harmonijną całość wiązał ministra z najostatniejszym posługaczem.

Byłem więc w posiadaniu przywileju na zostanie złodziejem bardzo prędko. Wyznam jednakże prawdę : nie miałem do tego pociągu, pomimo że złodziejską karierę otaczało w Rosji tysiące powabów. Więcej powabów miały dla mnie zieleniejące na zachodzie lasy. Te ciągnęły mnie dziwną jakąś ku sobie siłą. Szukałem sposobu przekraść się przez granicę,

a szukając zwiedzałem miejsca mające wspomnieniowe dla nas znaczenie, jak Krzemieniec, Wiszniowiec i Poczałów.

«Szukajcie a znajdziecie.» Znalazłem sposób do przekradzenia się przez granicę, ale przedtem znalazłem coś ważniejszego, coś takiego, co całemu memu życiu nadało pewny kierunek, co mnie wprowadziło na drogę którą idę, którą iść będę do śmierci.

Nie mogę powiedzieć, ażebym stanąwszy nad granicą Galicji, nie posiadał tego, co powszechnie nazywają «sposobem myślenia». Kochałem Polskę, znałem jej przeszłość, wiedziałem o jej prawach, ale nie wiedziałem na jakich te prawa zasadach rozwinąć się i ustalić powinny i mogą. Przeszłość Polski była szlachecką, zachwycała mnie — bo była poetyczną, bo owiewał ją urok bezinteresowności i rycerskości, świetniejących niby jasna gwiazda na tle ogólnych dziejów ludzkości — i myślałem, że szlacheckość ma jeszcze rację bytu, że podobna jest do owego rycerza czarami uśpionego, który gdy rozbudzi się, będzie strasznym i będzie zwycięzcą. Polskę nie przedstawiałem sobie inaczej, jak w kontuszu, przy karabeli, stojącą na straży dobra. Miałem wyobrażenie o sprawiedliwości społecznej względem ludu, którego ucisk mnie oburzał, ale nie miałem jasnego pojęcia o tem, w jaki sposób ta sprawiedliwość wymierzyć się powinna. Pod tym względem wpadałem w ostateczność: marzyłem o równym podziale ziemi — i komunistyczną tę zasadę, splatałem w umyśle moim ze szlacheckimi prawami, z czego w głowie mojej wylęgał się dziwny jakiś twór, na poły szlachecki, na poły demagogiczny, ale zawsze kontuszowy, karabelny i poetyczny. Wyraźnie błdziłem, szukając drogi — i znalazłem ją na samej granicy galicyjskiej, u źródeł Horynia; rozpowiedział mi ją jakiś szlachcic, którego nazwisko wypadło mi z pamięci, którego jednakże postać zawsze żywą stoi przed moimi oczami. Był to człowiek słuszny, silnie zbudowany i łysy, z twarzą dużą i otwartą, z zawieszonymi na dół opuszczonemi wąsami.

U człowieka tego, ja i kilku młodych oficerów od ułanów, byliśmy w gościnie. Przyjechaliśmy nad wieczorem i zostaliśmy zaproszeni na noc. Szlachcic mieszkał sam — był, zdaje mi się kawalerem, ale nie pierwszej młodości: o ile przypominam sobie, mógł mieć podówczas około czterdzie-

stu lat. Przyjęcie, jakiego w jego doznaliśmy domu, było bardzo gościnne. Oprowadzał nas po gospodarstwie, prezentował nam konie, karmił, poił, a wieczorem, zamiast do preferansa który był już w modzie, lub do sztosika albo diabelka, do których ułani wielki mieli pociąg, zaprosił nas do czytania niewielkiej książeczki, którą, jak powiadał, świeżo dostał. Były to «LISTY Z PARYŻA» St. Witwickiego. Ja czytałem w głos, — ułani i szlachcic paląc fajki, słuchali w milczeniu. Słuchacze, jak mi się zdawało, zachwyceni byli ostrą krytyką społeczności francuzkiej, jej zwyczajów i obyczajów, porównywanych z naszymi, które autor wysoko podnosił. Co chwila dawały się słyszeć wyrazy:

— To prawda... Wybornie... Doskonale...

Jeden tylko szlachcic, otoczyl się kłębam dymu i miledzał.

Kiedy zamknąłem przeczytaną książeczkę, wszczęła się pomiędzy nami żywa rozmowa, w której szlachcic nie brał udziału. Rozmowa nasza była niby patriotyczną, a rezultat jej był ten, że my wszyscy nie znając Francji, zgodziliśmy się na zdanie Witwickiego o Francuzach.

Nazajutrz, po śnie który nam się doskonale udał, i po kawie, która była wyborną, szlachcic zaprosił nas z sobą w pole i zaprowadził pomiędzy łąny żyta.

Poranek był prześliczny. Łany falowały się jak morze, a w powietrzu brzmiał chór skowronków, koników polnych i świerszczów.

Szliśmy powoli, zatrzymując się co kilka kroków dla rozmowy, w której prym trzymał szlachcic, a którą sokratesowskim prowadził sposobem: zadawał nam pytania, — my silił się na odpowiedzi. Wszystkie pytania szlachcica ściagały się do społecznych urządzeń, do ludowych praw i obowiązków i do międzynarodowych stosunków — a były tak zręcznie zadawane, że zawierały w sobie gotowe dla nas odpowiedzi. Przez nie, mimo naszej woli i wiedzy, weszliśmy na drogę czysto-demokratycznych przekonań — co więcej — pojęliśmy w całej jej zwięzłości i czystości demokratyczną zasadę, prostą w sobie i przystępną dla każdego, chociażby najmniej wykształconego rozumu, którą nam szlachcic przez stosunek Boga do ludu wytłumaczył.

Nie chcę i nie mogę za moich towarzyszy odpowiadać. Co się mnie jednakże tyczy, to od chwili tej pomiędzy łąny żyta

przechadzki, stałem się demokratą ze świadomością rzeczy. Nieznajomy szlachcic był mi mistrzem. Wszystko com dotychczas przeczuwał i odgadywał, on zebrał w jedną kształtną całość i w kilku słowach wypowiedział; zesintezował całą analizę, która zapelniła mój umysł, z powodu krytycznego na rzeczy zapatrywania się; wszędzie gdzie widziałem same niedostatki, on mi ukazał materiały oczekujące na budowniczych; ukazał mi wielką pracę od wieków w ludzkości odbywającą się i dotychczas nie skończoną, a na jej czele — Chrystusa, najlepszego demokratę i najpierwszego rewolucjonistę.

Od szlachcica dowiedziałem się, że demokratyzm niczem jest innem, jak tylko chrystjanizmem w praktyce. W ustach jego zasada chrystjanizmu: «kochaj bliźniego, jak siebie samego» przestała być literą martwą — drgnęła życiem, najprzód w obrębie rodziny, potem w obrębie narodu, nareszcie w obrębie ludzkości. Dostało się tam mimochodem i Witwiciemu, za pobudzanie do międzynarodowej nienawiści, i nam za uwierzenie na osłup pięknie brzmiącym frazesom.

Po tej prelekcji, byłem jakby na nowo na świat narodziłym człowiekiem. Znalazłem moralnego przewodnika, który z manowców wyprowadził mnie na bity gościniec i powiedział: «trzymaj się go, a nie zbłądzisz.» Czy nie zbłądziłem? — Jest to pytanie, którego rozwiązanie nie do mnie należy. Zresztą, nie spowiadam się z grzechów mojego żywota, a piszę wspomnienia. W nich nie mogłem pominąć postaci szlachcica, a to dla kilku przyczyn: raz dla tego, że ona ostatnia pożegnała mnie na progu tego świata, wśród którego wychowałem się; powtórze dla tego, ażeby pokazać jakie skarby ukryte są w łonie tego świata; potrzebie dla tego, aby dać poznać czytelnikowi siebie, jako głównego wspomnień bohatera.

Rozmowa ze szlachcicem ponagliła mnie do przyspieszenia przejścia granicy, którą przekroczyłem poniżej Radziwiłowa. Przejście ułatwił mi niejaki S. W., używszy do tego kontrabandzistę, wieśniaka z jednej z pogranicznych wiosek, któremu na imię było Fed'. Wymieniam to imię, czytelnik pozna dla czego.

S. W. umówił się ze mną o dzień, Fed' naznaczył godzinę. W umówionym dniu i o naznaczonej godzinie wyruszyliśmy

wózkiem parą koni zaprzężonym, w towarzystwie kozaka, dla którego S. W. nie miał sekretów. Jechaliśmy traktem równoległe do granicy. Jechaliśmy przeszło godzinę. Noc lipcowa była ciemna i cicha. Nikt nas nie spotykał, nikt nie zatrzymywał. Począłem się być już niecierpliwić i niepokoić, ale S. W. oswojony z tego rodzaju przeprawami, uspokajał mnie tem, że Fed' nie ma zwyczaju robić zawodów. Jakoż, niespodzianie zabrzmiał nam w uszach wyraz « Stój! » i z jednego z rosnących nad traktem krzaków, wysunęła się postać wieśniacza, w której poznaliśmy Fedia. Zbliżył się do wózka i powitał nas w imię Boże.

— Można przejść? — zapytał go S. W.

— Jak Bóg da... — była odpowiedź. -- Dajcie mi wasze rzeczy.

Podąłem mu zawiniątko, które on wrzucił do worka i na plecy sobie zarzucił, a zwracając się do siedzącego na kozle kozaka, przemówił:

— Słuchaj: gdyby z ciebie żywcem pasy darli, czy byś wygadał coś widział tej nocy?...

Kozak złożył palec na krzyż, pocałował, podniósł do góry i rzekł:

— Niech mnie ten święty krzyż pobije, jeżeli komu choć słówko pisnę...

— No, pamiętajże... — odparł na to Fed' i palcem mu pogroził.

Ja tymczasem pożegnałem się z S. W. i na wezwanie Fedia « *chodim* » ruszyłem za moim przewodnikiem.

Zrazu szliśmy krzakami, potem przez niewielki wygon dostaliśmy się na ogrody wiejskie i przelazszy przez kilka płotów i rowów, weszliśmy do jakiejś zagrody.

— To moja chata... — rzekł Fed'. — Trzeba nam się na drogę posilić...

Te słowa wymówił do mnie pod rozłożystą gruszą, która konarami sięgała po nad strzech chałupy i pod którą stał stółek do strugania obręczy. Usiadłem na stolku. Fed' poszedł do chałupy i po chwili wyszedł, w towarzystwie młodego parobka, niosąc w ręku flaszkę wódki, chleb i ser.

— Czém chata bogata, tém rada... — przemówił, przypijając do mnie. — W wasze ręce...

Wychyliłem podany mi kieliszek, żeby nie obrazić gościn-

ności gospodarza, i zakąsiłem. Fed' i Ilko (było to imię parobka) z apetytem zajadali, rozmawiając pomiędzy sobą o rzeczach do przeprawy nie należących. Zauważałem tylko, że pierwszy od czasu do czasu spoglądał na niebo, które się wszystkimi iskrzyło gwiazdami.

Było dobrze po północy, kiedy Fed' wstał, przeżegnał się na podziękowanie Bogu za posiłek i rzekł do mnie:

— No, teraz chodźmy... Będziemy szli polami i lasami... Ja pójdę przodem, wy za mną a za wami Ilko... Trzymajcież się mnie i dobrze nogi wyciągajcie...

To rzekłszy, zarzucił na grzbiet worek z mojem zawiniątkiem i ruszył.

Miał rację, przestrzegając, abym dobrze nogi wyciągał, szedł bowiem posuwisto i tak szybko, że ledwo zdążyć za nim mogłem. Czasami zatrzymywał się i przysiadł, dając nam znak, abyśmy i my tak samo zrobili. Prowadził nas chłopskimi polatkami, krajem pachnących hreczek, pomiędzy żyta, owsa i jęczmiona. I zaprowadził w las. W lesie było tak ciemno, że musiałem się świty Fedia trzymać. Fed' przyspieszył kroku, potem zwolnił i uszedłszy jeszcze paręset sążni począł głośno mówić.

— Możemy już bezpiecznie spocząć...

— A granica?... — zapytałem — czyśmy ją już przeszli...

— Oho!... gdzie ona za nami!... tu nawet niemieckie legry nic nam nie zrobią...

Usiedliśmy pod drzewem. Po chwili Fed' odesłał Ilka na powrót a sam poprowadził mnie do chałupy leśniczego, u którego dostaliśmy koni z wozem i pojechali wprost do pana E. T. galicyjskiego obywatela. Z leśniczym charakterystyczną miał mój przewodnik rozmowę.

— Co u was słychać?... — zapytał tego ostatniego po przywitaniu.

— I, nie... wszystko po staremu... — odpowiedział leśniczy

— A u was?

— U nas... — po niedługim namyśle odrzekł Fed' — gadają, że taki Poliszczka weźmie swoje... Nasi Moskale strasznie się ruszają, to tak w Krzemieńcu z puszek walą, że aż ziemia dudni...

Leśniczy się zamyślił i głową kiwał.



— Cóż mówią *wasi* Moskale?... — zapytał go Fed' po chwili.

— Siedzą cicho... Gdzieś tam ich biją, ale bardzo daleko, aż w Talji, a Polaki tymczasem zbierają się i musztrują...

Na te słowa ledwie mi serce z piersi nie wyskoczyło : tak spieszo mi było do tych musztrujących się Polaków.

Do pana E. T. miałem polecającą karteczkę. Przyjechałem do niego przed wschodem słońca i zastałem go już na nogach, wybierającego się na polowanie. Fed' przywitał się z nim, jak ze starym znajomym.

— Co tam u was, Fediu, słybać?...

— Et, wszystko, panie, po staremu... Tylko Moskale w Krzemieńcu z puszek strzelają, że aż w Poczajowie słybać. A nazbierało się tego i konnych i pieszych i z puszkami ćmuszcza...

— Co?... wiele?...

— Jak mrowia...

— To nic... porachujemy ich...

Jakoś zelektryzowały mnie te ostatnie pana E. T. słowa. Kontent byłem z siebie i ze wszystkiego, co mnie na wstępie do Galicji spotkało. Czułem się już — że tak powiem — w obozowem powietrzu.

Jako wyraz mego ukontentowania, ofiarowałem Fediuwi pólimperjała w złocie. Fed' wyciągnął rękę, jakby dla uściśnienia mojej dłoni; lecz ujrawszy w niej sztukę złota, cofnął swoją dłoń.

— To, Fediu, za to, żeś się trudził dla mnie... — rzekłem, nie rozumiejąc jego cofnięcia dłoni.

Fed' zamiast odpowiedzi uśmiechnął się z wyrazem gorzkiej wymówki.

— Weź... — nastawałem — czemuż nie bierzesz?... może to mało...

I sięgałem po drugiego peca.

— Nie róbcie tego... — rzekł Fed'. — Ja nie wezmę ani wiele ani mało... — bo, jeżeli tu kto komu powinien dać, to ja wam, a nie wy mnie...

— Toż, dla czego?... — zapytałem zdziwiony.

— Dla tego, że ja wiem, po co wy granicę przeszli... Ja chłop i nie rozumny, ale ja wiem... Wam Pan Bóg dał ro-

zum, wy pismienni : użyjcież waszego rozumu na dobre, a to będzie najlepsza dla Fedia zapłata...

Można sobie wyobrazić, jak głęboko te proste poruszyły mnie słowa. Rzuciłem się Fediowi na szyję i łyzy mi do ocz nabiegły. I Fed' był wzruszony. Obsypywał mnie życzeniami.

— Niech wami Bóg się opiekuje... niech przed wami drogi prostuje... obyście zdrowi do swoich powrócili... A — kończył — jak już zaczniecie bić, to bijcie dobrze i nas zawołajcie...

— Kogo bić?... — zapytał pan E. T., świadek tej sceny, która się na ganku jego domu odbywała.

Kogoż, jeżeli nie Moskali... — odpowiedział Fed' z uśmiechem.

Szlachcie, o którym pisałem wyżej, i Fed' żyją i żyć będą w mojej pamięci. Dowodzą oni, jakich skarbów pełnem jest nasze społeczeństwo. Ja ich nie szukałem : spotkałem się z nimi przypadkiem. Cóż — gdyby poszukać...

(Roz. II *podamy później.*)

KORESPONDENCJE.

Lwów, 31 grudnia 1862.

(JA.) Za dni 13 ma się zebrać sejm tutejszy na dłuższy czas podobno, niż zeszłego roku. Zamierzano z początku, że posłowie zjadą się już 6 stycznia, aby mieli dość czasu do porozumienia się między sobą, jaką obrać drogę postępowania wobec rządu i wobec świętojurców. Musiano atoli odstąpić od tego zamysłu, ponieważ posłowie z zachodniej części kraju przybędą do Lwowa dopiero około 10^o, a zatem na 2 dni przed zagajeniem sejmu. Mnie się zdaje, że byłoby stokroć lepiej, gdyby pierwotny zamiar wykonano, a głównie dla tego, że istotnie należałoby wszechstronnie rozważyć, jaką obrać drogę najkorzystniejszą wśród obecnych okoliczności. Nie dość bowiem przystąpić do rozbierania ułożonych przez wydział projektów, trzeba by zarazem uwzględnić, jakie ma być zachowanie się sejmu wobec tego, co się dzieje w innych stronach Polski. Jużciż dziś nie pora zamykać się w ramach prowincjonalizmu, lub myśleć tylko o sprawach własnych, gdy takie bezprawia się dzieją do koła, zadające kłam temu

nawet, co według osnowy traktatów wiedeńskich dla nas zastrzeżono. Nie myślę twierdzić, że sejm nie powinien zajmować się sprawami prowincji, lub może zejść jako sejm z drogi legalnej, ale wolno żądać, aby takie za-
jął stanowisko, na którym oprócz praw własnej prowincji może bronić i prawa drugih ziem polskich. Chcąc zaś obu tym obowiązkom odpowiedzieć a przytem z podstawy legalnej nie schodzić, musi oprzeć się na traktatach wiedeńskich i walczyć o to, aby tym prawom w tychże traktatach narodowi naszemu zastrzeżonym, zadość się stało. Wątpić atoli trzeba, czy sejm zechce stanąć na tej podstawie, skoro dzien-
nikarstwo miejscowe ani go do tego nie zachęca, ani opinją publiczną do tego nie przygotowuje. Niektórzy są zdania, że powołując się na traktaty wiedeńskie, uznaje się tem samem rozbiór Polski. Lecz można ich wzajem zapytać, czy powoły-
waniem się na jakiegokolwiek rozporządzenie lub ustawę ra-
kuzką nie uznajemy prawowitości rządu rakuzkiego u nas, a tem samem i rozbioru Polski? Można również zapytać, czyli poseł ślubujący wierność cesarzowi rakuzkiemu, nie uznał rozbioru Polski?? Jeżeli więc takimi czynami nie zrzekamy się prawa do samoistności, nie uznamy pewnie powołaniem się na traktaty z r. 1815 rozbioru naszej ojczyzny, gdyż żą-
damy tem wykonania jedynie zobowiązań, które trzy mocar-
stwa wobec Europy na siebie przyjęły. Zawarowane tam dla nas prawa są naszą własnością, o którą nam każdego czasu i w każdym miejscu upominać się wolno. Ztąd jednakowoż nie wypływa bynajmniej, że samem żądaniem, aby te prawa urzeczywistniono, uznamy rozćwiertowanie własnej ojczy-
zny lub zrzekniemy się prawa do samoistności narodowej. Lepiej by było, aby ci panowie otwarcie powiedzieli, że nie mają dość odwagi na krok stanowczy i na odwołanie się do czegoś, co rząd w obliczu Europy obowiązuje, i że daleko jest bezpieczniej dla nich stać na podstawie nadań świeżych rządu rakuzkiego. Po co zasłaniać się jakimś udawanym a
szczytnym patriotyzmem i jakimś nibyto wstrętem uznania gwałtu rozbioru, jeżeli każdy z nich ślubując wierność cesa-
rzowi rakuzkiemu gwałt rozbioru uznał! Na co te wykręty? Powiedzcie lepiej, że chcecie po uszy zabrnąć w legalizm i na tem koniec, a będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Z wszystkiego, co się teraz mniej więcej już przejawia,

mogę was z góry upewnić, że sejm nasz prócz burzliwych nieco intermezzów z świętojurcami i nawiasowych starć koteryjnych, odbędzie się zresztą nader spokojnie i przepytluje projekta, które mu wydział przedłoży. Takie jest mniej więcej usposobienie między posłami, którzy postanowili kłamać przepowiedniom wiedeńskim, że sejm nasz będzie bardzo burzliwy. Jest to zawsze śpiewka naszych dyplomatów różnorodnych i różnoimiennych, że należy rząd przekonywać, jak go okłamują biurokraci. Gdy w roku 1854 cesarz rakuzki miał przyjechać, uroiło się naszym dyplomatom, że wypada go przyjąć z jak największą serdecznością, a to na złość biurokratom, którzy ciągle prawią o nieprzyjaznych usposobieniach Polaków ku rządowi! Było więc nadskakiwania i wynurzeń radości tyle, że aż sami Niemcy się dziwili, za co też Polacy cesarza tak kochać mogą. Dziś usłyszano, że w Wiedniu figury rządowe czując aż nadto, jakie nam się ciągle dzieją krzywdy, przepowiadają burzliwe nader posiedzenia sejmowe. Otóż postanowiono ich przekonać, że jesteśmy zadowolnieni i nie mamy czego się burzyć! Na wszystko znajdzie się patryjotyczne tłumaczenie, że przedewszystkiem trzeba pomyśleć o zapewnieniu krajowi jakiej takiej organizacji, a Niemcom przytem okazać, że nie stronimy od rozwijania się na drodze spokojnej, byle nam możność dano. Jest to wszystko nader pięknem, lecz nie wadziłoby na wstępie wyświecić prawa, jakie nam pod każdym przysługują względem. Nie zapominajmy przytem, że na projekta nasze organizacyjne rząd nie pozwoli, jeżeli takowe jego planom nie odpowiedzą. Doświadczenie powinno nas było wyuczyć, że zbyt uczynna powolność i potulność do celu nas nie wiedły.

Najgłówniejszym z przedmiotów, które przyjdą pod obrady, jest ustawa gminna. Rząd z swoją radą wiedeńską wskazał mniej więcej zasady główne, na jakich urządzenie gmin oprzeć należy. Jest tam coś i autonomji gmin i wszystkiego też potrosze. Chcąc jednakowoż zasady te do naszych potrzeb i stosunków miejscowych zastosować, trzeba z nader wielką ogłędnością brać się do rzeczy...(1)

(1) Tu korespondent wchodzi w obszernie i gruntowne wywody, dotyczące stanowiska żydów w gminach miejskich a włościan w gminach wiejskich, które pisma krajowe wszechstronnie rozbierać mogą, poświęcając obszerniejszy na to zakres, niż pismo nasze uczynić jest w stanie. (Przypis wydawcy.)

Jeżeli pojedyncze gminy miejskie i wiejskie będą odpowiednio dzisiejszym potrzebom narodowo-społecznym urządzone, nie ulegnie urządzenie gmin zbiorowych, jakimi będą powiatowe i obwodowe, wielkim trudnościom, gdyż na dobrych i mocnych podwalinach można bez obawy gmach zakładać. Idzie zaś najgłówniej o to, by władzom rządowym nie przyznawać zbyt dużego wpływu, gdyż w razie tej przewagi zniknie wszelka możność samoistnego rozwoju gmin tych najzupełniej. Jesteśmy przekonani, że gminy powiatowe i obwodowe wtedy tylko pożytecznie na dobro swych miejscowości będą mogły wpływać, jeżeli urzędy w ich działalności co do spraw wewnętrzno-miejscowych mieszać się nie będą. Zachodzi więc pytanie, czy rząd zechce zezwolić na taką samodzielność? Sejm przecież nie powinien się oglądać na życzenia rządu, ale taką ustawę gminną uchwalić, która najlepiej potrzebom naszym odpowiada. Zarzucą mi zapewne, że rząd może jej nie zatwierdzić, gdy mu nie będzie dogodną. Prawda, lecz ztąd nie wynika, abyśmy sami coś takiego stanowili, co albo zbawiennego wpływu nie wywrze na rozwój życia u nas narodowego, albo nawet szkodliwie nań oddziaływać może. Pamiętajmy zawsze o tem, że wszelkie półśrodki i półrodeczki na nic się nie zdadzą. Ładajaka organizacja gmin oddanych pod nadzór i kierunek urzędów, nie tylko nie przyniesie korzyści krajowi, ale go nawet na szkody pod względem narodowym narazi, ponieważ może zaabsorbować i tę część żywiołu narodowego w kółku drobnych i marnych wysiłków, która dziś w szerszym zakresie sprawą narodową się zajmuje. Powiedziałbym nawet, że lepiej pozostać w dzisiejszym stanie bez organizacji gminnej, niż wpłatać się w złą lub nieodpowiednią sprawę narodową. Z tem twierdzeniem nie zgadzają się u nas dość liczni ludzie, którzy chcąc coś zrobić na drodze legalnej, wyobrazili sobie, że byle organizacja gmin, chociażby i najgorsza do skutku przyszła, wielkie cuda zaraz dziać się będą. W ich przekonaniu znajdzie się wszystko w organizacji gmin. czego tylko dusza na drodze legalnej zapragnąć może.

Jesteśmy bardzo ciekawi na projekt ustawy gminnej, który tutejszy wydział krajowy wygotował; a chociaż rozmaite o jego treści istnieją pogłoski, wstrzymujemy się z sądem, aż do jawnego ogłoszenia.

Rządy Aleksandra, od których tyle dobrego spodziewaliśmy się, wszystkich zawiodły. Myśmy czekali « Ziemskiej Dumy » — otrzymaliśmy Liprandiego; Polska chciała « wolności » — a ma Konstantego i szubienice. Słaby charakter i umysł Aleksandra przez czas długi ukrywały się pod maską mniemanego liberalizmu. Jak wszyscy monarchowie, pozwolił nam zrazu kilka chwil spokoju, wydawał się wspaniałomyślnym. Po męczącym Mikołajowskim despotyzmie, w istocie cieszyliśmy się tą malutką wolnością, która nastąpiła ze wstąpieniem na tron Aleksandra. Cenzura zwolniła, Uniwersytet doczekał się zdolnych profesorów. Wielu na tem poprzestawało na pierwszy raz, tem bardziej, że przed rozwiązaniem kwestji włościańskiej w komisjach redakcyjnych, nie można było niczego więcej wymagać; pozostawało tylko czekać i spodziewać się, krążyły bowiem wieści, że cesarz czeka tylko rozwiązania włościańskiej kwestji ażeby kraj obsypać reformami, których projekta oddawna już miały być przygotowane.

Doczekaliśmy się nareszcie dnia 19 lutego, od którego datuje druga epoka panowania Aleksandra. « W postanowieniach » (położeniach) każdy przeczytał, że wolności lud nie otrzymał, że włościanin jak dotąd, jest niewolnikiem. Z twarzy wielkomyślnego monarchy spadła sztuczna maska liberalizmu. Wszyscy prawdziwi przyjaciele wolności przestali mu wierzyć, odstrychnęli się od rządu. Wypadki wkrótce potwierdziły nową tę opinią o panującym. Po 19 lutego zamiast spodziewanych reform, nastąpiły morderstwa włościan przez carskich popleczników, aresztowania, kopalnie. Pierwsze strzały w Warszawie, także około tego czasu miały miejsce. Przyjaciele wolności, widząc, że niczego dobrego od nowego rządu spodziewać się nie powinni, poczęli działać na własną rękę, zjawily się proklamacje, i pierwszego Michajłowa okuto w kajdany i zaprowadzono do kopalni. W październiku 1861 r. miała miejsce demonstracja petersburskich studentów. Tu już Aleksander pokazał się takim jak Mikołaj, 400 ludzi uwięziono, a wielu z nich później zastracono w oddalone prowincje. W Moskwie było gorzej, bo zbici przez studentów policjanci, podzegli lud do bicia studentów za to, jakoby szli przeciw sprawie włościańskiej. Od tego czasu,

areszta i wygnania mnożą się bez końca. W marcu 1862. r. pożary, Młoda Rosja i inne proklamacje; car się przestraszył, zawołał przyjaciela swego ojca, Liprandiego i wszystko poszło po Mikołajowsku. Równoczesne zjawienie się pożarów i proklamacyj pomieszało w oczach rządu podpalaczy z politycznymi agitatorami. Zaczęły się najdziksze prześladowania. Począwszy od miesiąca maja, więzienia są pełne aresztowanych, którzy się zmieniają ciągle; mimo to podpalaczy nie odkryto. W tymże czasie odkryto jedną drukarnię w skutek donoszenia podoficera Horbanowskiego (z żydów). Cesarz był właśnie w Carskiem Siele, chciał widzieć żyda i wynagrodził go rangą oficera, ale donosiciel rzekł się tego zaszczytów i otrzymał od szczodrobliwego monarchy 300 rubli, również jak i od liberalnego ministra wojny Miliutina. Młodzi ludzie aresztowani w skutek tej sprawy siedzą w fortecy od miesiąca czerwca, wielu są z bardzo oddalonych prowincyj. Cesarz kazał koniecznie zakończyć śledztwo o podpalaniach i proklamacjach, przed obchodem tysiącolecia. Żandarmi z tem większą zajądłością rzucili się na młodzież; aresztowania stały się coraz liczniejsze, wiele osób przywieziono z gubernij, w ich liczbie znajdowało się siedemnaście osób przywiezionych z Permu, w skutek doniesienia tamtejszego gubernatora Łoszkorowa. Mimo to, dzieło nie postąpiło, podpalaczy nie odkryto, trudno bo też odkryć, skoro ich wcale nie było. Cała ludność wzburzona, teraz nikt w Petersburgu nie idzie spać spokojnie, bo co noc mnóstwo ludzi aresztują.

W czasie tego zamętu, inkwizytorowie wydają projekt sądowej reformy. Niektórzy dali się tém obalamucić i przystali do rządu. Zrazu projekt ów chwalono, tém bardziej, że równocześnie z jego pojawieniem się zniknął Panin, od lat trzydziestu wypełniający obowiązki ministra sprawiedliwości. Lecz ta radość prędko ostygła; rozpatrzywszy się w nowém prawie, zobaczono, że ono nie wiele lepsze od dawnego. Półtorasta lat temu, Piotr W. przywiózł z Germanji sąd niemiecki, zupełnie dla Rosji nie stosowny; teraz Aleksander obdarzył Rosję, w nagrodę tysiąco-letniego braku sądownictwa, sądem francuzkim, który dla Francji może jest dobry, dla rosyjskiego życia jest zupełnie nie stosowny. Trzeba jednakże powiedzieć, na pociechę przyjaciół wolności, że pierwsze dobre wrażenie sprawione przez ogłoszenie sądowych

reform, zaczyna już przechodzić; i można mieć nadzieję, że i ta próba Aleksandra zamydlenia nam oczu, nie uda mu się; bo czyż można w istocie wierzyć *im* w czémkolwiek bądź; car daje publiczne sądy, a Liprandi jak dotąd prowadzi swoje inkwizycje. Niedawno jednego studenta pytano o broszury, które się pojawiły między Łotyszami (?); nie otrzymując zadowolniających odpowiedzi, zaczęli go bić; bili, bili, i nie się nie dowiedziawszy przestali. Pułkownik od huzarów Krasowski, skazany do kopalni za szerzenie między żołnierzami zakazanych publikacyj. Widać, że i kawalerzyści naszej armji chcą z popleczników cesarskich stać się obrońcami narodowej swobody. Pomiędzy oficerami z piechoty i z artylerji wielu znajduje się ludzi szlachetnych, którzy umieli już się pokazać w Warszawie i w Petersburgu prawdziwymi przyjaciółmi wolności; teraz i kawalerzyści łączą się z nimi. Przykład pułkownika Krasowskiego nie może pozostać bez pięknych skutków. Żołnierze kochali go jak przyjaciela, rzucali mu do więzienia kamiki z uwiązanemi listami, w których pisali, że nigdy o nim nie zapomną. Żołnierz z siepacza staje się człowiekiem, skoro tylko oficer przestaje być rozbójnikiem. Tymczasem rosyjskie dzienniki ciągle prawią o nierozwinięciu narodu. Cała literatura, wyjąwszy jedną tygodniową gazetę, zaprzeczana jest rządowi; z tego powodu ciągle w niej są wzmianki o nierozwinięciu narodu, i przytaczane są co chwila najniezgrabniejsze przykłady mające dowodzić nieudolności naszego narodu, do samorządu, i pokazać społeczeństwu, że czas «ziemskiej dumy», o którą my ciągle wołamy, jeszcze nie nadszedł. Ale literatura zanałto jawnie stała się przychylną rządowi, zanałto zapalczywie i bez dowodów potępia to co kocha swobodę, ażeby mogła przeciągnąć przyjaciół wolności na swoją stronę; pozostają przy niej czynownicy i obywatele (pomieszczyki), a my po staremu propagujemy i dobijamy się o *Ziemiąską Dumę*, która jedna może nas wybawić od Romanowskiej samowoli, i dać nam możność zapomnienia przeszłości, i zawarcia nareszcie przymierza z Polską, która w naszych szeregach nie znajdzie nigdy nieprzyjaciół.

ROSJANIN.

Zjednoczone Księstwa, 30 grudnia 1862.

Stan wewnętrzny kraju Zjednoczonych Księstw, bez najmniejszej powiedzieć można egzageracji, jest stanem zupełnego bezrządu, anarchji, za którą, jak za wszczerpienie wszystkiego złego, Moldowolochy podziękować mają dawnym swoim opiekunom, którzy chwalili się, iż wydarli ich z pod bezpośrednich wpływów Wysokiej Porty. Opiekunami tymi byli Moskale. Oni to, po wojnie 1828 i 1829 roku nadali Moldowolochy urządzenie, pod nazwą *Regulaminu Organicznego*, w którym w beztadny chaos poplątali i pomieszali atrybucje różnych władz, łącząc administrację z sądownictwem, finanse z policją, policją z oświatą publiczną, i religją, i siłą zbrojną, i sądownictwem, i — zresztą — wszystkim, — zwyczajnie po moskiewsku, albo raczej po Mikołajowsku, bo nieboszczyk Mikołaj, jak wiadomo, w policji się kochał, i nią wszędzie i wszystko, gdzie tylko i jak tylko mógł — haftował. Uhaftował też i wewnętrzne urządzenia Moldowolochy, i to sprawił, że obecnie w chwili przejściowej, kiedy społeczeństwo tutejsze nie pozbywszy się jeszcze ciasnych, niedogodnych i narzuconych mu starych form, nie znalazło nowych, dogodniejszych, — wszystkie władze rozprzęgły się i osłabły, jedna policja pozostała — a pozostała dla tego właśnie, że była we wszystkim wszechobecną, że nie ona dla kraju, ale kraj urządzonym był dla niej. Obecnie mamy na Moldowolochy panowanie policji.

Do was zapewne zabłąkają się ztąd wieści o sejmie i konstytucji, o samorządzie nadanym Zjednoczonym Księstwom, przez zjednoczoną, w celu udobrodziejstwowania Moldowolochy, Europę. Jako żywo! Jest sejm, jest konstytucja, jest i samorząd — ale to wszystko na papierze. W rzeczywistości, panuje policja, która rządzi, sędzi, wybiera podatki, rozporządza dochodami, dyryguje oświatą, dzierży w ręku swoją siłę zbrojną, opiekuje się religją, wydaje wszelkie wyroki, i takowe egzekwuje. Sejm sobie coś tam rozprawia, o konstytucji coś ludzie gadają, samorząd wygląda jak gruszki na wierzbie, a policja działa.

Jakie działania tego następstwa, o tem i wspominać nie warto. Dość wyobrazić sobie władzę, której jedynem zadaniem, pełnić przepisy i wykonywać rozkazy, rozkazującą i

przepisy tworzącą. Z pewnością, żaden w obecnej chwili rząd, nie jest tak szykanującym, jak Zjednoczonych Księstw; żaden — w drobiazgach — nie dokucza tak mieszkańcom, a zwłaszcza podróżnym. Nigdzie np. z taką ścisłością nie wybierają podatków. Widząc jak kontrybuentów, szczególnie Żydów, za uszy i pejsy wloką po ulicach żandarmi, jak napadają na ich mieszkania, zabierają i psują sprzęty, zapominasz o konstytucji, a zdaje ci się że patrzysz na urzędowy rabunek. Nigdzie z taką skrupulatnością nie przestrzegają paszportów. Bez paszportu ze wsi do wsi przejechać nie można, a wjeżdżając do większego miasta, np. do Bukaresztu, Jass lub Galaczu, potrzeba osobno uzyskiwać pozwolenie na wjazd, pozwolenie na pobyt i pozwolenie na wyjazd, i za każdym pozwoleniem starać się o wizy (jeżeli się jest cudzoziemcem) konsularne, i tłumaczyć się z celu przybycia i pobytu, i protokularnym sposobem wykazać: miejsce i rok urodzenia, religję, zatrudnienie etc. Ani w Austrii, ani nawet w Rosji w takie drobiazgi nie wchodzi, po pięć razy w jednym i tem samym miejscu paszportu nie wizują. Jest wprawdzie niezawodna od tych szykan obrona, zależąca na tem, aby urzędnikom nie żałować cwancygierów; tem jednakże gorzej że istnieją takie prawa, które cwancygierami dają się łamać. Jest to urzędowa zachęta do publicznej demoralizacji. Smutno patrzeć na oficera, wykomenderowanego z szeregów armji narodowej do pilnowania granic kraju, człowieka niby honorowego, który wbrew prawu, za jednego cwancygiera, puszcza przez granicę bez paszportu. Bez paszportu można sobie radzić, ale trzeba się trzymać za kieszeń.

To co pisałem o paszportach, da się zastosować do wszystkich bez wyjątku urzędzeń. Prawo i szykana są jednoznacznikami, a ratunkiem na nie: przekupstwo — a powodem tego — policyjny charakter urzędzeń! Reforma, jaką od 1856 roku usiłują zaprowadzić, ogranicza się dotychczas na zmianie ubiorów i tytułów. Zmieniono mundury — z moskiewskich na francuzkie; poprzeszywano urzędników, i oto wszystko. Obwód nazywał się dawniej *cynutem*, dziś *dystryktem*; naczelnika obwodu tytułowano dawniej z moskiewska *sprawnikiem*, dziś z francuzka *prefektem*. Dzisiejszy jednakże prefekt, zawsze jeszcze jest dawnym sprawnikiem; obecnie nawet, z powodu niepewności i nieokreślności stanu przeji-

ściowego, w jakim kraj od pięciu lat się znajduje, władza jego spotęgowała się, tak — że dystrykta uważać można jako osobne paszaliki, a prefektów jako pewien rodzaj wielkorządców opatrzonych władzą dyskrejonálną. Na co oni tej władzy używają? — Na to odpowiada świeży przykład kilku prefektów, którzy za krzyczące nadużycia publicznego grosza, pod sąd zostali oddani. Nadużycia zaś niekrzyczące uchodzą i uchodzić będą póty, póki urzędników od korony, nie zastąpią obieralni, nad którymi czuwać będzie bezpłatna kontrola ogółu, nie zaś płatna, i dla tego właśnie przekupna, urzędowa. Na to jednakże nie zanosí się. Zgromadzenie prawodawcze jest za zbyt w większości swojej reakcyjnem, aby zdobyć się mogło na usunięcie policyjności, z krajowych instytucyj.

Ta policyjność, nieznosnym czyni pobyt cudzoziemcom na Mołdowoloszczyźnie, zwłaszcza takich, których podejrzewają o polityczny charakter. Nie przesładują ich dotychczas; o ile mi wiadomo nikogo ani na wyraźne, ani na niewyraźne Rosji lub Austrii żądanie nie wydano — ale za to szyskanom, końca i miary nie ma. Tego zbito za to, że na spacerze zapomniał paszport w domu, — owego uwięziono za to, że nie umiał krajowym mówić językiem, — innego zelżywemi obrażono wyrazy za to, że się jego fizjonomja nie spodobała. Od czasu do czasu, na żądanie austrjackiego lub moskiewskiego konsula, robią się poszukiwania i indagacje. Moskale usiłują wmówić w tutejszy rząd, że na Multanach ukrywają się uczestnicy zamachu na Wielkiego Księcia. Kilka dni temu w Botuszanach, (miasteczku w północnej Mołdawji leżącym) trzęsiono po domach i szukano po okolicy za Chmielińskim. Gdyby moje słowo znalazło wiarę bądź u Moskali, bądź u tutejszej policyjnej władzy, mógłbym im jak najsolenniejsz zaręczyć, że dotychczas ani Chmielińskiego, ani żadnego z jego współuczestników, noga na Multanach nie powstała — że zatem ta grzeczność, jaka Moskalom się wyświadcza, zupełnie chybia celu, a to dla tego, że najniepotrzebniej niepokoi i żandarmerję i mieszkańców. Z pewnością rzec można, gdyby nie policja sterowała interesami kraju, podobnego rodzaju głupstwa dziać by się nie mogły, dla tej prostej przyczyny, że nie byłoby komu je przeprowadzać. Kiedy to jednakże i czy kiedy nastąpi? — Trudno nawet, patrząc na to

co się dzieje, spodziewać się. Szkoda kraju, który jest przeducudnym, — szkoda ludzi, w których pod powłoką demoralizacji, nie jedno dobre dałoby się wyszukać.

SPRAWY KRAJOWE I EMIGRACYJNE.

Rok 1862 zastał Polskę, rosyjskiemu berłu podległą, wystawioną na najwyższy ucisk pod zaprowadzonym w październiku, roku poprzedniego, stanem oblężenia. Zakończył się zaś dwiema czynnościami dowodzącemi zarówno tyranji, obludy, a nawet i barbarzyńskiej ciemnoty rządu. Chcemy mówić o grożącym Królestwu kongresowemu poborze rekruta, i o toczącym się w Warszawie politycznym procesie.

Pobór ten, wedle postanowień pierwotnie go zarządzających, słusznie *proskrypcją* nazwany. Tém bardziej należy mu się to miano w skutek tajemnego rozporządzenia rady administracyjnój Królestwa kongresowego z dnia 6 grudnia 1862, ogłoszonego w *Czasie* z 30 t. m. i r., które jasno i po dwakroć wypowiada myśl, że tegoroczne rekrutowanie ma na celu uspokojenie kraju przez wzięcie do wojska najruchliwszych indywiduów.

Proces zaś przeciwko sześciudziesięciu sześciu obwinionym, po większej części rzemieślnikom warszawskim, o formowanie polskiego wojska, zarówno zadziwia brakiem podstawy do jakiegokolwiek zaskarżenia, jak i jawnością swoją wobec pogwałcenia wszystkich form procedury. Tysiące innych daleko ważniejszych procesów, sądzone są przy drzwiach zamkniętych. Nagłą jawności zachciankę, przypisać więc tylko można usiłowaniu carskiego rządu, zasłużenia sobie pozornym liberalizmem na opinją rzeczywiście liberalnego w oczach Europy.

Tymczasem postanowienie rady administracyjnój, o którym wyżej wspomnieliśmy, naznacza na 17 stycznia ostateczny termin do wykończenia list poborowych. Plaga więc *branki* niedługo nastąpić może. Niebezpieczeństwo grożące całemu społeczeństwu utrzymuje takowe w wyjątkowym nateżenia stanie. Czy osoby, na służbę w szeregach carskich wskazane, bronić się będą stawianiem osobistego oporu? — czy opór ten uogólni się i masy do walki z wrogiem pociągnie? — czy społeczeństwo polskie w razie tej najwyższej swego patriotyzmu próby, okazałoby się dość zgodnem wewnątrznie i dość silnem do tej walki? — czy wreszcie mate-

rialne przygotowania tak dalece posuniętemi zostały, aby szczęśliwy koniec można było rozsądnie wróżyć? — oto są pytania, które sobie bez wątpienia każdy Polak zadaje. Zbyt oddaleni od kraju, abyśmy o wewnętrznych przygotowaniach wyrokować mogli, to tylko widzimy, że w każdym razie nadeszła chwila, w której więcej niż kiedykolwiek obowiązkiem jest wyznawców rewolucyjnych i postępowych dążeń, stanowczo popierać zasady, w których spoczywa jedyne zbawienie ojczyzny. Jeżeli obowiązek ten w razie walki nie ulega żadnej wątpliwości, to jego spełnienie nie mniej jest koniecznem w daleko prawdopodobniejszym przypadku, nie przysięcia jej do skutku. Wtedy bowiem antynarodowa reakcja zdobiąca się w patriotyczne formy, podwoi czynność.

Tymczasem w Polsce nie zanosi się na pojednanie między dwoma narodowymi stronnictwami: stronnictwem umiarkowanym i stronnictwem ruchu, które jakkolwiek pokrewne w zasadach, różnią się w trybie postępowania. Opinje nasze w tej mierze i motywa, na których je opieramy, wyłożymy w sprawozdaniu z broszury: *«Zadanie obecnej chwili»*, napisał Stanisław Kazimierz Gromada (Paryż 1862), które do następnego odkładamy poszytu. Broszura ta, z tego mianowicie względu zasługuje na uwagę, że wypowiada sposób, w jaki stronnictwo umiarkowane pojmuje narodowe obowiązki w obecnej chwili.

— Donosiliśmy w poszycie z 7 stycznia b. r. o dokonaniem w Paryżu uwięzieniu trzech rodaków naszych w nocy z 20 na 21 grudnia. Dwóch z pomiędzy nich: Cwierciakiewicz i Odlewski, dnia 8 b. m. uwolnieni zostali, z rozkazem opuszczenia Francji, w przeciągu 24 godzin. Dwaj inni rodacy nasi: Drohomirecki i Miłowicz temuż samemu ulegli losowi, choć że poprzednio aresztowani nie byli.

Emigranci polscy zamieszkali we Florencji przesłali generałowi Garibaldiemu po jego powrocie na wyspę Caprera adresy i listy, w których w dziennikach florenckich, który obecnie w poszyciu podajemy przekładzie:

«Jeszcze! Każda wieść o polepszającym się zdrowiu Twojem, i tymowia nas przejmując radością. Zdrowie bowiem bohatera wolność drogiem być musi dla synów tej Polski, która dla wolności właśnie cierpi barbarzyńskie okrucieństwo moskiewskiej tyranii.

» Od czasu szesnastu morderstw na bezbronnym ludzie warszawskim popełnionych, Polska cała przywdziała

żałobę. Od chwili gdyś ranny upadał, myśmy w podwójnej żałobie.

» Jenerale! Gorące ci szlemy życzenia : Niech Bóg Cię zachowa dla niedalekiej przyszłości, dla walki za wolność ludów ; imię Twoje tak dla Włoch drogie, każdy Polak — od starca do małego dziecięcia — ze czcią wymawia ; jest ono przestraczem wrogów a stać się może hasłem wojennem dla ludu naszego, który zebrany pod sztandar Białego Orła, pokaze że za wolność walczyć i umierać gotów.

» To co Ci mówimy, jenerale, z serca pochodzi ; wierz więc, że w godzinie walki za wolność, gotowiśmy stanąć pod Twoją chorągwią z życiem, które poświęcić dla wybawienia ojczyzny prawdziwą będzie dla nas rozkoszą.

Emigranci polscy zostający we Florencji. »

Następują podpisy.

Garibaldi na adres ten odpowiedział z Caprery w dniu 29 grudnia 1862 roku :

« Do Emigrantów polskich we Florencji.

» Serdecznie dziękuję wam za słowo pełne uczucia, które mi przysyłacie. Życzenie wasze jest mojem życzeniem. Naród polski wolnym będzie i powstanie wyższym nad jarzmo, które go gniecie ; bo żaden naród nie pokazał tyle godności w ucisku. Włosi nie zapomną, że wszystkie ludy są braćmi i że tylu synów Polski krew swą przelała za świętą sprawę Włoch. Przyjmijcie uścisk mój dłoni, i wiercie że zostaje na całe życie waszym.

J. GARIBALDI

Zeszyt niniejszy sprzedaje się po fr. 1.

U Seweryna Elzanowskiego (wydawcy), Paryż, ulica des Beaux-Arts, 17.

Tudzież w księgarniach polskich :

Karola Królikowskiego, Paryż, ulica de Seine,
Stanisława Tchorzewskiego, Londyn, 1, Ma
street Gerard-street, Soho-Square.

Paryż. — W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.

